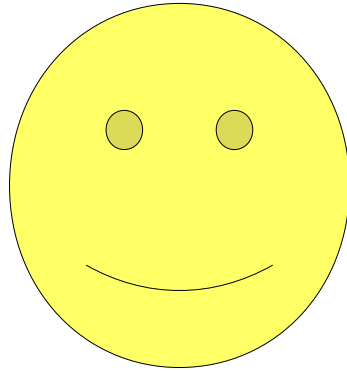


Jan Brzechwa

Od baśni do baśni



Baśń o korsarzu Palemonie

/

Kiedy król Fafuła Czwarty Zachorował nie na żarty, Do doktora rzekł:

„Doktorze, Nic mi widać nie pomoże, Przeznaczenie jest nieczułe, Przyszła kreska na Fafułę. Muszę umrzeć, wola boża, Niechaj zbliżą się do łoża Królewicze i królewny, Do nich mam interes pewny”. Przed królewskie więc oblicze Przyszli czterej królewicze I królewny przyszły cztery Tłumiąc w sercach smutek szczery. Król powiedział: „Już dogasam, Z dziećmi zostać chcę sam na sam. Proszę wszystkich wyjść z pokoju I zostawić nas w spokoju”.

Gdy nie było już nikogo, Król przemówił z miną srogą: „Drogie dzieci, trudna rada, Życ bez końca nie wypada, Trzeba umrzeć na ostatku, Dostaniecie po mnie w spadku Złotych monet dziesięć garnków, Dwieście wiosek i folwarków, Wszystkie stada, psiarnie, stajnie, Pola żyzne nadzwyczajnie, Lasów obszar niezmierny, Wszystko, wszystko - prócz korony, Bo korona przeznaczona Jest dla tego, kto pokona Kapitana Palemona. Ma on okręt nad okręty, Nie zwyczajny - lecz zaklęty. Od stu lat żeglarzy płoszy, Wszystko niszczy i pustoszy, Kto go ujrzy choć z daleka, Tego śmierć niechybnie czeka. Kto się za nim w pogoń puści, Znajdzie śmierć na dnie czeluści, Kto go schwyta i pokona, Temu tron mój i korona!” Ledwie rzekł to król Fafuła, Zła gorączka go zatrzała, Strasznych drgawek dostał potem I zmarł z piątku na sobotę. No, a już w

niedzielę rano Króla godnie pochowano. Dzieci ojca oplakały, Płakał z nimi naród cały, A gdy minął rok z kawalkiem, Zapomniano o nim całkiem.

li

Płynie okręt przez odmęty, Nie zwyczajny, lecz zaklęty, Pokład pusty, burta pusta, Poprzez burte fala chlusta, Wicher pędzi go i nagli, Chociaż nie ma na nim żagli.

Lecz co dzień koło południa Pokład nagle się zaludnia: Dźwięczą głosy, dudnią buty, Ukazuje się z kajuty Twarz przepita i czerwona Kapitana Palemona, Jego broda rozwichrzona, Oczy ostre jak sztylety, Dwa za pasem pistolety, Jednym słowe: postać dzika Kapitana-rozbójnika. Ukazuje się załoga Rozbójnicza i złowroga: A więc sternik-kuternoga, Pięćdziesięciu marynarzy, Strasznych zbójów i korsarzy, A na końcu kucharz-Chińczyk I kudłaty pies pekińczyk.

Gdy zaczyna szaleć burza, Okręt w nurtach się zanurza I na morskim dnie osiada, Gdzie niejedna śpi armada. To - kraina niezmierną Kapitana Palemona. Tam z kryształu są pałace, Tam korsarze kończąc pracę Odbywają uczyty swoje, Tam planują swe rozboje, Tam chowają swe zdobycze, Tam małżonki rozbójnicze Śpią na skórkach rozciągniętych Pośród złotych ryb zaklętych. Ośmiornice straż tam pełnią, Księżyc złotą swoją pełnią Koralewy gaj oblewa, W którym chór rusalek śpiewa.

Płynie okręt przez odmęty, Nie zwyczajny - lecz zaklęty, Z dna wypływa na powierzchnię, A gdy tylko dzień się zmierzchnie, Okręt wznosi się do góry, Nad obłoki i nad chmury I zawisa niespodzianie W lazurowym oceanie. To - kraina niezmierną Kapitana Palemona. Tam, gdzie mleczna biegnie droga, Schodzi sternik-kuternoga I kapitan, i załoga. Z grubej blachy księżycowej Wykuwają pancierz nowy I gwiazdami z firmamentu Przybijają do okrętu.

Tam, na szczycie srebrnej góry, Mieszka ptak ognistopióry, Żeby w jego piór poździe Ciepło było spać załodze. Błyskawice straż tam pełnią Księżyc srebrną swoją pełnią Szmaragdowy mrok oblewa, W którym ptak ognisty śpiewa.

lii

Już w tronowej wielkiej sali Królewicze się zebrali, Siadły obok nich królowy Tłumiąc w sercach smutek rzewny. W oddaleniu, jak wypada, Stał rząd i dumna rada, Stary kanclerz z twarzą czerstwą, Poczet książąt i rycerstwo. Z królewiczów wstał najstarszy, Piękne czoło groźnie marszczy. Słucha rząd i dumna rada, A królewicz tak powiada: „My, waleczni królewicze, Przez odmęty tajemnicze Wyruszamy jutro w drogę. Mamy okręt i załogę. Rusznikarzy mamy dzielnych, Dziesięć armat szybkostrzelnych, Nurków zastęp wyćwiczony, Broń, latawce i balony, I latarnię czarnoksiężską, Która chronić ma przed klęską. Siostry z nami się zabiorą, A więc jedzie nas ośmioro. Cały świat przewędrujemy, Aż w kajdanach przywieziemy Kapitana Palemona. Sprawa jest postanowiona. Niech tymczasem dumna rada Mądrze państwem naszym włada, Rząd niech

pieczę ma nad ludem, Niechaj kanclerz zbożnym trudem Dla zwycięzcy tron zachowa - Król to będzie czy królowa!"

Całą noc i dzień bez mała Pożegnalna ucztą trwała. Rzeką lał się miód stuletni I bawiono się najświetniej.

A w przystani na kotwicy, Walcząc z wichrem nawałnicy, Stał, jak delfin rozpostarty, Okręt „Król Fafuła Czwarty”. Królewicze i królowy Pożegnali wszystkich krewnych, Rząd i radę pożegnali I na okręt się udali. Świszczą liny okrętowe, Do podróży już gotowe, Furczą żagle, skrzypią reje, Wyjąc wiatr pomyślny wieje. Płynie okręt przez odmęty W świat nieznan, niepojęty, Fale pienią się i ryczą, Biją serca królewiczom, A królowom w tajemnicy Śnią się morscy rozbójnicy.

lv

Mija tydzień, drugi, trzeci, Okręt lotem wichru leci, Niecierpliwi się załoga, Że nie widać nigdzie wroga. Królewicze z bezczynności Na pokładzie grają w kości, A królowy w swych kajutach Robią ciepły szal na drutach. Naraz jedna z nich powiada: „Ja bym była bardzo rada, Gdyby postać wymarzona Kapitana Palemona Ukazała się w kajucie”. „A ja dziwne mam przecucie - Rzecz druga - że z nas jedna Z tym korsarzem się pojedna I zostanie pokochana Przez straszego kapitana”. Rzecz trzecia:

„Jako żona Kapitana Palemona, Jedna z nas królową będzie”. Czwarta na to: „Niech przybędzie, Niech podejmie walkę z braćmi I odwagą wszystkich zaćmi”.

Ledwie rzekły to królowy, Runął z nieba wichor gniewny, Porwał liny, stargał żagle, Ciemna noc zapadła nagle, Skotłowały się bałwany I w ten odmęt skotłowany Uderzyła nawałnica. Mrok rozdarła błyskawica I jej światło zielonkawe Ukazało dziwną nawę, Która w mrokach na obłokach W dół spuszczała się z wysoka.

Królewicze patrzą z trwogą I zrozumieć nic nie mogą: Płynie okręt przez odmęty, Nie zwyczajny - lecz zakłęty. Wichor pędzi go i nagli, Chociaż nie ma na nim żagli, I z daleka już dolata Jego srebrnych blach poświata. Rozhukały się armaty, Biją w środek tej poświaty. Przez latarnię czarnoksiężką Jasność sączy się zwycięsko, Rozpryskują się pociski Po spienionej fali śliskiej. Odrzucono pistolety, Królewicze przez lunety Patrzą w ciemną dal i sami Już kierują armatami.

Płynie okręt przez odmęty, Nie zwyczajny - lecz zakłęty, Niby stwór niesamowity W zielonkawą mgłę spowity. Pokład pusty, burta pusta, Poprzez burtę fala chlusta, A on płynie jak na skrzydłach, Prosto z bajki o straszidłach, W ciemność, burzę i zwieję I w ciemności olbrzymieje. Kto go ujrzy choć z daleka, Tego śmierć niechybna czeka.

Królewicze więc od razu Dali rozkaz. W myśl rozkazu, By móc patrzeć w tamtą stronę, Każdy włożył szkła zaćmione, Szkła przedziwnie szlifowane, Czarem snu zaczarowane. W królewiczach zapał płonie: „Kapitanie Palemonie, nie bądź tchórzem, wyjdź z ukrycia, Walcz, nie żałuj swego życia!”

Ale okręt pustką zieję, Prze odmęty, przez zawieję, Lekko mknie po fali śliskiej, Nie trafiają weń pociski, Maszt nietknięty w górze sterczy I jedynie śmiech szydery Straszliwego kapitana Dźwięczy w wicherach i w bałwanach.

V

Z królewiczów jeden rzecze: „Na nic kule, na nic miecze, Kapitana Palemona Oręż zwykły nie pokona, A to dla nas kwestia tronu! Wsiądźmy razem do balonu, Wieje właśnie wiatr północny, Wiatr ten będzie nam pomocny. Napadniemy okręt wraży, Uderzymy na korsarzy Granatami, latawcami, Nie poradzą sobie z nami!”

Projekt został wnet przyjęty: Balon wzniósł się nad odmęty, Wicher pognał go przed siebie I pogrążył w mrocznym niebie. Lecą dzielni królewicze W dale mgliste i zwodnicze. Zimny wiatr napełnia płuca, Balon szarpie i podrzuca, I nad wrogi niesie statek. Dobywając sił ostatek Królewicze w jednej chwili Na piratów uderzyli. Przebiegają pokład żwawo, Patrzą w lewo, patrzą w prawo: Pokład pusty, burta pusta, Poprzez burtę fala chlusta. Z kim tu walczyć? Gdzie załoga? Na okręcie nie ma wroga! I okrętu nie ma wcale, Jeny płynie poprzez fale Księżycowa mgła zielona, Której oręż nie pokona.

Królewicze byli wściekli, Że w tę mgłę się przyoblekli I że wiatr ich niesie żwawo Z tą zakłątą, dziwną nawą. Ale już koło południa Nawa nagle się zaludnia. Ukazuje się załoga Rozbójnicza i złowroga: A więc sternik- kuternoga, Pięćdziesięciu marynarzy, Strasznych zbójów i korsarzy, A na końcu kucharz-Chińczyk I kudłaty pies pekińczyk. Nie ma tylko kapitana. Cóż za sprawa niezbadana? Gdzie przebywasz, w jakiej stronie, Kapitanie Palemonie?

Przybliżyli się korsarze, Królewiczom patrzą w twarze: Co za jedni? Skąd się wzięli? Czy zjawili się z topieli? Szczerzy zęby kucharz-Chińczyk, Obwachuje ich pekińczyk, Każdy milczy, każdy czeka, Nawet pies - i ten nie szczeka.

Nagle sternik śmiechem parska, Parska śmiechem brać korsarska, Aż za brzuch się trzyma kucharz, Nawet pies ze śmiechu spuchł aż. Wreszcie sternik tak powiada: „Jest to zwykła maskarada, Myśmy rząd i dumna rada. Król Fafuła w testamencie Zlecił takie przedsięwzięcie, By wybadać wasze męstwo. Osiągnęliście zwycięstwo I pochwały, i zdobycze, Wielce dzielni królewicze. Właśnie są królestwa cztery, Które mają zamiar szczerzy Ofiarować wam swe trony. Wybór jest postanowiony - Cztery statki stoją w porcie; Z wygodami i w komforcie Do swych królestw pojedziecie, By zabłysnąć w całym świecie; Tam już czeka lud stęskniony, Złote berła i korony”.

Gdy to sternik rzekł - korsarze Odmienili swoje twarze, Zdjęli wąsy, zdjęli brody I wrzucili je do wody.

Królewicze są jak we śnie: Spoglądają jednocześnie Na sternika, co zamierza Przeistoczyć się w kanclerza, Przyglądają się obliczom Dobrze znanym królewiczom, Członków rady obejmują, Z ministrami się całują. Zaraz kanclerz na okręcie Wydał na ich cześć przyjęcie I rzekł żartem w swej przemowie: „Czterech królów piję zdrowie - Karowego, kierowego, Pikowego, treflowego. Zmarły król Fafuła Czwarły Bardzo lubił zagrać w karty”.

Uczta była znakomita, Każdy najadł się do syta, Rzeką lał się miód stuletni I bawiono się najświetniej.

Vi

A w kajutach swych królowny Rozważają los niepewny: Odlecieli królewicze W dale mroczne i zwodnicze, Może już nie żyją, może Powpadali wszyscy w morze? A tu przyjdą rozbójnicy, Tacy straszni, tacy dzicy, I królowny uprowadzą, I do ciemnych lochów wsadzą. Jak się bronić przed tą zgrają?

Gdy tak smutnie rozmyślają, Nagle drzwi się otwierają, Wchodzi młodzian bardzo zgrabny, Bardzo młody i powabny I królownom ukłon składa. Żadna z nich nie odpowiada, Jednocześnie wszystkie zbladły I jak stały, tak usiadły. Wyciągają drżące dłonie: „Nie zabijaj, Palemonie!”

Młodzian znowu ukłon składa, Po czym śmiejąc się powiada Wprost, bez żadnej ceremonii: „Jam jest władca Palemonii, Król Palemon, proszę bardzo, Niechaj panie mną nie gardzą, Łagodnego jestem serca I nikogo nie uśmiercam, A historia o piracie To jest bajka, czy ją znacie? Choć to bajka nieprawdziwa - Sens ukryty w bajce bywa”.

Zapłonily się królowny Tłumiąc w sercach smutek rzewny Wymarzyły w snach pirata, A tu król jest. Taka strata! Los niekiedy figle płata. Król Palemon się przywitał, Siadł, o zdrowie grzecznie pytał I rozwodził się nad statkiem, I rozglądał się ukradkiem.

Trzy królowny były cudne: Zgrabne, gładkie, białe, schludne Czwartej los zaś figla spletał: Czwarta była piegowata, Niepozorna i brzydula - Uśmiechnęła się do króla. A ślicznotki trwały dumnie. „Brzyduleńko, zbliż się ku mnie - Rzecz król Palemon czule - Chcę za żonę mieć brzydulę!” A ślicznotki klaszczą w dłonie: „Świetnie, królu Palemonie! Choć siostrzyczka nie jest ładna, Ale dobra tak jak żadna, Niezrównana będzie żona I królowna wymarzona!”

Ucałował król brzydulę, Pierścień dał, co miał w szkatule, Bo tak zawsze robią króle.

Vii

Połączono dwa okręty: Ten zwyczajny i zaklęty.

Wszyscy są już na pokładzie, Stoi rząd przy dumnej radzie, Królewicze i królowny, Król Palemon, poczet krewnych, Nawet stary kucharz-Chińczyk I kudłaty pies pekińczyk.

Gdy skończyła się parada, Wszedł kanclerz i powiada: „Król Fafuła w testamencie Zlecił takie przedsięwzięcie, Że korona przeznaczona Jest dla tego, kto pokona Kapitana Palemona. Pokonała go królowna, A więc rzecz jest całkiem pewna, Że jej miejsce jest na tronie Przy małżonku Palemonie”.

Zaraz kanclerz na okręcie Wydał na ich cześć przyjęcie I rzekł żartem w swej przemowie: „Czterech dam wypijmy zdrowie, Bo to jasne jest, że mamy Na pokładzie cztery damy: Jest kierowa, jest karowa I pikowa, i treflowa. Zmarły król Fafuła Czwarty Bardzo lubił zagrać w karty!”

Uczta była znakomita: Każdy najadł się do syta, Rzeką lał się miód stuletni I bawiono się najświetniej.

Choć to bajka nieprawdziwa - Sens ukryty w bajce bywa.

Przygody rycerza Szaławiły

Gdy wojna się skończyła, Wsiadł rycerz Szaławiła Na bułanego konia, Za giermka wziął gamonia,
Co po wsiach kury kradł, I milcząc ruszył w świat.

Miał giermek Roch na imię. Nos odmrożony w zimie Na gębie mu wykwitał Jak rzepa pospolita, A
nade wszystko Roch Spać lubił, bo był śpioch.

Miał rycerz zbroję podłą I niewygodne siodło, Do tego uprząż biedną I strzemię tylko jedno, Lecz
za to żył w nim duch, Co starczyłby za dwóch.

Tylko na jedną nogę Przy bucie miał ostrogę, Gorący w walkach udział Sprawił, że włos mu
zrudział, Nietęgą postać miał, Lecz rycerz był na schwał.

Mawiali o nim Szwedzi, Że w nim stu diabłów siedzi, Tatarzy z trwogi słabli Na widok jego szabli,
A Turcy - zwykła rzecz - Zmykali przed nim precz.

Gdy wojna się skończyła, W świat ruszył Szaławiła, Roch za nim z wolna człapał, Bo miał
niewielki zapał Do przygód. Nadto Roch Niechętnie wachał proch.

Rzekł rycerz: „Jestem głodny, To objaw niezawodny, Że gdzieś tu jest zamczysko Albo oberża
blisko. Na pieczeń mam dziś chęć, Mój giermku! Za mną pędź!”

Z pół mili ujechali, A już widnieje w dali Gospoda „Pod Fijołkiem”, Więc rycerz z swym
pachołkiem Przed bramą z konia zsiadł. „Tu - rzecze - będę jadł!”

Koń dawniej rżał, dziś nie rży, Gdy staje przy oberży. Wiadomo - rycerz w nędzy, A owsa bez
pieniędzy Nie daje przecież nikt. Pan chudy - chudy wikt.

Toteż niepewnie trochę Wszedł Szaławiła z Rochem Do izby dość przestronnej, Gdzie przy
pieczeni wonnej, Która zapiera dech, Siedziało zuchów trzech.

Rzekł tedy Szaławiła: „Hej, gospodyni miła, Nam też tu podaj pieczeń,
A proszę - bez złorzeczeń, Bo płacę, kiedy mam, Dziś nie mam, stwierdzam
sam”

Zaśmiała się szynkarka: „A to z was niezła parka, Wynoście się czym prędzej, Nic nie dam bez
pieniędzy, Włóczęgów mamy dość, A taki gość - nie gość!”

W rycerzu moc ożyła. „Jam rycerz Szaławiła, Do Króla Jegomości Chodziłem nieraz w gości, Król
brał mnie grzecznie wpół I sadzał za swój stół.

Ugaszczał mnie szach perski I regent holenderski, Królowa Izabela I król węgierski Bela, I nawet
Wielki Fryc, Lecz nie płaciłem nic!”

To rzekłszy rycerz godnie Podciągnął sobie spodnie. „Niech miła gospodyni Trudności nam nie
czyni, Nie jadłem od dwóch dni, Aż w brzuchu mi się ckni.”

Tu głos zabrały zuchy: „Brzuch pusty, język suchy, Któż ścierpi taką dolę? Siadajcie tu przy stole, Pieczeni jest w sam raz, By nią ugościć was.

I piwa do wieczerzy Nie zbraknie dla rycerzy. Hej, gospodyni, żywo Nieś chleb, mięsiwo, piwo, Talerze, szklanki, nóż, Prosimy siadać już!”

Rzekł rycerz Szaławila: „Przemowa nader miła, Ogromnie sobie cenię Szlachetne zgromadzenie, Chodź, Rochu! Oto Roch Mój giermek, leń i śpioch”

„A my jesteśmy zuchy, Wesole pasibrzuchy. Kochamy opowieści O bohaterskiej treści. Mów, Szaławilo, mów, Słuchamy twoich słów!”

Za stół przybysze siedli, Porządnie się najedli, Roch aż językiem mlasnął, Ze stołka spadł i zasnął, A rycerz wziął się w pół I swą opowieść snuł:

„Mam dwieście lat z kawalkiem, Lecz jestem młody całkiem, Mój ojciec miał trzy wieki, Gdy zamknął swe powieki, A mój stryjeczny dziad Żył ponad pięćset lat.

Walczyłem ja w Wenecji, W Hiszpanii, Grecji, Szwecji, Pod Warną i nad Marną, Choć miałem zbroję marną, Mnie w Moskwie Batu chan Czterdzieści zadał ran.

Gdy mi odrąbał głowę, Myślałem - już gotowe! Lecz zbiegli się lekarze, Puszkarze, rusznikarze, Przyszli głowę znów I proszę - jestem zdrów!

W Warszawie Bonaparte Powiedział do mnie żartem: - Do Pyr jedź, Szaławilo, Tam jeszcze cię nie było! Odrzekłem: - Rozkaz, sire, Wyjeżdżam dziś do Pyr.

Przyjeżdżam tam koleją, A w Pyrach już się leją Kozacy i Prusacy, I nasi zawadiacy. Pif paf! pif paf! pif paf! Ruszyłem do nich wplaw.

Złapałem wnet dowódcę I mówię mu pokrótce, Że rozkaz mam i władzę, Że ja dziś pułk prowadzę. Dowódca z gniewu zżółkł, A ja prowadzę pułk.

Kozacy tył podali, Prusacy się poddali Wraz z całą artylerią. (Mówię to całkiem serio!) A cesarz do mnie rzekł: - Wspaniały jesteś człek!

Mianuję cię marszałkiem. (Mówię to serio całkiem!) Masz legię honorową (Daję wam na to słowo!) I będziesz księciem Pyr. Odrzekłem: - Rozkaz, sire!

Tak! Różnie w życiu bywa!” Tu rycerz tyknął piwa, Zapalił papierosa, Kłęb dymu puścił z nosa, Uderzył dłonią w stół I swą opowieść snuł:

„Za króla Władysława Ciekawsza była sprawa. Chciał zdobyć król warownię, Lecz wierzcie, że dosłownie Z królewskich armat stu Nie było żadnej tu.

Król widzi: rzecz zawiła. - Gdzie - pyta - Szaławila? Niech hetman go sprowadzi, On jeden coś zaradzi, Pociski są, lecz jak Nadrobić armat brak?...

Przyjeżdżam - król w rozpaczy Jest wprawdzie stos kartaczy, Lecz armat nie ma wcale. Powiadam: - Doskonale, Bajeczny pomysł mam, Armatą będę sam.

Wnet uczestniczę w walce: Więc kartacz biorę w palce, Podrzucam go do góry I nogą ciskam w mury, Jak piłkę nożną - buch! Król woła: - To mi zuch!

Już drugi kartacz leci, A zaraz po nim trzeci, Po trzecim leci czwarty, Wre walka nie na żarty. Niebawem cały mur Aż roił się od dziur.

Wtem patrzę - wprost z moczarów Wyrasta pułk janczarów, A ja sam jeden stoję, Janczarów się nie boję, Lecz cóż mam począć tu? Ja jeden, a ich stu!

Rzucili się jak wściekli I nogi mi odsiekli, Więc tylko myślę sobie:

Co w tej opresji zrobię? Jeszcze bym uciec mógł, Lecz uciec jak bez nóg?

Tu stał się fakt doniosły, Gdyż nogi mi odrosły Z nadwyżką pięciu cali! Janczarzy się poddali, Bo taki zdjął ich strach. - To szejtan, a nie Lach!

Król wezwał mnie nad ranem: - Zostaniesz kasztelanem, Otrzymasz wiosek dwieście I pięć kamienic w mieście, A nadto, jeśli chcesz, Mą córkę dam ci też."

Tu jeden zuch zawoła: „To rzecz niezwykła zgoła, Opowiedz, jak to było, Rycerzu Szaławilo! Czy ożeniłeś się, Gdzie żona twa, gdzie wsie?"

A rycerz rzecze: „Skądże! Ja postępuję mądrze. Królowna jest dla księcia, Król księcia chce za zięcia, A ja, zwyczajny kiej, Żołnierski wolę chleb.

Królowi więc powiadam, Że na to się nie nadam. Król płakał bardzo rzewnie, Powtórzył to królownie, Królowna rzekła: - Ach! I utonęła w łzach.

A ja ruszyłem w drogę, Bo szczerze wyznać mogę, Że inne miałem plany.

Ja byłem zakochany! Joanna, mówię wam, Najmilszą była z dam.

Pamiętam, jestem w Rydze, Wtem, w oknie wieży, widzę, Prześliczna siedzi panna (A była to Joanna). Więc daję ręką znak, Że niby tak a tak,

Że jestem nią olśniony, Że takiej pragnę żony, Że jestem Szaławilo, Że gdyby się zgodziła, Niech skreśli kilka słów Lub powie: bywaj zdrów!

Zrzuciła tedy liścik, Że na nic cały wyścig Młodzieży i rycerzy, Gdyż ją uwięził w wieży Jej ojczym bardzo zły, Więc tylko roni łzy.

Mnie, wiecie, nic nie wstrzyma, Przychodzę do ojczyma, Powiadam: - Mości książe, Z daleka tutaj dążę, By pasierbicy twej Nieść ulgę w doli złej!

A książe jak nie wrzaśnie: - Stu takich było właśnie, Znam was, obieżyświatów, Uciekaj, do stu katów, A panna - wierzyć chciej, Zostanie w wieży tej!...

Złość mnie okrutna bierze, Wkoło obchodzę wieżę. Ma łokci z pięć tysięcy Lub może jeszcze więcej, A jej sklepiony dach Po prostu ginie w mgłach.

Na pomysł wpadam wreszcie: Skupuję sznury w mieście I łączę je w godzinę W niezwykle długą linę, Najdłuższą, jaką znam, To mogę przysiąc wam.

Jej koniec pochwyliłem, Przez wieżę przerzuciłem, By po dwóch stronach wieży Zwisła, jak należy. Więc oba końce już Z dwóch stron zwisają wzdłuż.

Dwie pętla na nich robię, Z nich jedną mam na sobie, A druga pętla taka Oplata grzbiet rumaka. Wypreżył rumak grzbiet I pocwałował wnet.

Sznur, górą przerzucony, Koń ciągnie z jednej strony, A z drugiej wraz ze sznurem Ja się unoszę w górę - Nim jeszcze błysnie świt, Dostanę się na szczyt.

Rwie naprzód rumak chyży, Mnie wciąga coraz wyżej, Objam się o mury I widzę, patrząc z góry, Że koń mój poprzez mgły Nie większy jest od pchły.

Migają pietra wieży, Czupryna mi się jeży, Bo lęk mam nieustanny, Czy dotrę do Joanny... Lecz oto już jej twarz! Stój, koniu! Dokąd gnasz?

Na wprost jej okna wiszę, Na linie się kołyszę, Spoglądam, a Joanna To całkiem stara panna, Co ma z sześćdziesiąt lat. No - myślę - ładny kwiat!

Zgarbiona, siwiuteńka, Maleńka babuleńka! Snadź podróż moja trwała Czterdzieści lat bez mała. I ja - w odbiciu szyb - Też jestem stary grzyb.

Widokiem tym złamany, Chwyciłem nóż składany, Przeciąłem sznur - i jazda! Jak spadająca gwiazda, Na łeb, na szyję w dół! I jużem śmierć swą czuł.

Lecz tak mi się powiodło, Żem trafił prosto w siodło. Spoglądam: nie do wiary! Nie jestem wcale stary, Siwizny zniknął ślad, Mam znów trzydzieści lat.

Mój koń jest też bez zmiany I rączy, i bułany. Ruszyłem tedy w drogę, A dziś już dojść nie mogę, Kto wtenczas z wieży spadł: Ja, ojciec mój czy dziad?"

Tu drugi zuch zawoła: „Historia dziwna zgoła, Aż mnie przejmują dreszcze! Mów, Szaławilo, jeszcze, Mów, Szaławilo, znów, Słuchamy twoich słów!"

Znów rycerz łyknął piwa I rzekł: „Przeróżnie bywa. Słuchajcie, zuchy, bowiem Historię wam opowiem, Którą przez kilka lat Rozbrzmiewał cały świat.

Gdy z wojskiem stałem w polu, Królowa Neapolu, Co ceni mnie ogromnie,

Przesłała liścik do mnie: Monsieur de Chalavil (Francuski niby styl),

Śmierć sroga mi zabrała Mojego admirała, Mam wielką więc ochotę, Ażebyś pan mą flotę Na zachód i na wschód Do nowych zwycięstw wiódł! „

Gdy dama wzywa, jadę, Bo taką mam zasadę. Nazajutrz, damę słowo,

Stanąłem przed królową. Gdym tylko do niej wszedł, Dostałem od niej wnet

Kapelusz admirański I order portugalski, Ponadto szpadę złotą I władzę nad jej flotą! Ukląknę u jej stóp. - Zwycięstwo albo grób!

Gdym złożył tę przysięgę, Dostałem wielką wstęgę I order Margrabini Sardynki czy Sardynii, Już nie pamiętam sam. Ten order dotąd mam.

Ach! Mam orderów kopy Od władców Europy. Gdy nosić je należy, Dobieram dwóch rycerzy I w trzech dźwigamy tak, Aż nieraz sił nam brak.

Gdy wróg posłyszał o tym, Że ja objąłem flotę, Chciał się ulotnić nagle, Więc rozwinąłem żagle, Ruszyła flota w bój, A pierwszy okręt - mój!

Holendrzy i Anglicy Miotali się jak dzicy, Duńczycy potonęli, Hiszpanów diabli wzięli I tylko szwedzki król Uniknął naszych kul.

Wtem wiatr na morzu ustał, Rozwarłem tedy usta I oddech po oddechu Jak z potężnego miechu Wypuszczając jałem z płuc - Bo przecież chcieć to móc!

Dmuchałem tak zawzięcie, Że okręt po okręcie Wypływał, Szwedów tropił I niedobitków topił, Bo wierście, takich płuc Nie miewał żaden wódz.

Walczyłem tak dwa lata Na różnych morzach świata. Chińczyków zwyciężyłem, Amerykę odkryłem I jeszcze jeden ład, Lecz go nie widać stąd.

Raz siedzę na pokładzie, A okręt mój się kładzie. Zlatuję w nurty słone. No - myślę - już skończone! Bo okręt z szumem fal Popłynął sobie w dal.

Historia niewesoła! Rozglądam się dokoła, A tu rekinów stado Już grozi mi zagładą I pruje siną głąb, I chce mnie wziąć na ząb

A jeden z nich, złowrogi, Już chwyta mnie za nogi I paszczą na dwa łokcie Obgryza mi paznokcie. To straszne! Taki zbój Chce przeciąć żywot mój!

Więc krzyczę z całej siły: - Nie ruszaj Szaławilo, Nie zjadaj admirała, Królowa zakazała, Byś admirała jadł! I rekin nagle zbladł.

Schwyciłem go za ogon I rzekłem z miną srogą: - A teraz... jazda! Holuj Mnie wprost do Neapolu! I cóż? Po paru dniach Wyrzucił mnie na piach.

Królowa przyszła do mnie, Cieszyła się ogromnie, Hrabiny, margrabiny Szły do mnie w odwiedziny, Za nimi cały dwór I książąt długi sznur!”

Tu trzeci zuch zawoła: „Przygoda dziwna zgoła! Lecz mów, rycerzu, dalej, Do kufla piwa nalej I opowiadaj znów, Słuchamy twoich słów!”

Chciał mówić Szaławiła, Lecz nagle się zdarzyła Rzecz wprost niewiarygodna, Bo Rocha twarz dorodna Wyjrzała z dołu wzwyż, Złowieszczo szepcząc: „Mysz!”

Na stół nasz rycerz wskoczył, Jak gdyby Turków zoczył, I przerażony diabło, Jął wymachiwać szablą, I pocił się, i trząśł, I skubał rudy wąs.

„Hej, zuchy, oręż bierzcie! A ruszcie się nareszcie, Ta bestia na mnie czyha, Więc brońcie mnie, do licha! Mógłbym ją zabić sam, Lecz tępą szablę mam!”

Mysz do drzwi się rzuciła, A wtedy Szaławiła Zawołał: „Siodłać konie, Ja w polu ją dogonię!” I dał ze stołu skok, Ku drzwiom kierując krok.

Niebawem był z powrotem, Rzęsistym zlany potem, Za sobą włókł dziewczynę I groźną robiąc minę, Rzekł: „Prędzej tu się zbliż! Panowie! Oto mysz!

Dziewczyny wzięła postać, By łatwiej tu się dostać. Jak ci na imię?” „Krysia...” „Toś ty księżniczka mysia. Ja sztuczki takie znam, Umiem je robić sam.

Ty może nie wiesz o tym, Że jestem właśnie kotem I ciebie zjem, panienko!” Tu zaczął miauczeć cienko I na czworakach szedł, Pociesznie preżąc grzbiet.

Od stołu wstały zuchy. „Popatrzcie na te ruchy! Dalibóg, istne dziwy, To przecież kot prawdziwy! A może obraz ten To jest po prostu sen?

A może nam się śniły Przygody Szaławiły? Przy piwie różnie bywa, Od piwa łeb się kiwa. Hej, gospodyni, radź, Czy mamy pić, czy spać?!”

„Spać, skoro jest ochota, I już nie męczcie kota, A Krysia - marsz do kuchni I zaraz świecę zdmuchnij! Dobranoc! Na mnie czas! Panowie, żegnam was.”

Magik

Gdy na zachód z Sandomierza Iść przez dwa i pół pacierza, Widać drogę, która zmierza Wprost do Dwikóz. Tam przed laty Żył Fikusów ród bogaty, Co wyrabiał dzwony z brzozy, A z konopi plótl powrozy I rozślawił tym Dwikozy.

Tam, na samym skraju Dwikóz, Mieszkał ongi magik Fikus, Zwany Łysoń, trojga imion: Bonifacy - Filip - Tymon.

Magik Tymon Fikus z Dwikóz Co dzień inny robił psikus.

Raz, gdy wracał z Sandomierza, Przeistoczył w oset jeża, A gdy szedł do Zawichostu, Wziął i zrobił jeża z ostu.

Sypał w gąsior piasek mialki, A wylewał - sztof gorzałki.

Kiedy zjeść chciał jajecznicę, Szedł po prostu na ulicę, Tam ze śniegu ugniótł jajko, Jajko nakrył kacabajką, Potem na nie chuchnął z bliska - I już stała pełna miska.

Innym razem wziął koguta, Schował w kieszeń od surduta, A po chwili, zręcznie nader, Wody wylał z niej pięć wiader.

Raz, gdy ujrzał muzykusa, Dał przez cały rynek susa I do warg przytknąwszy dłonie, Grał jak gdyby na puzonie, Na klawecie grał po troszku I na flecie, i na rożku, I nie wiedział nikt już z Dwikóz, Czy gra Fikus, czy muzykus.

Już nie będę mówił o tym, Jak udawał, że jest kotem, I jak w psa się zmienił potem; Jak połykał kalosz stary, A wypluwał okulary; Jak na lewej dłoni wsparty W płasie stóp tasował karty; Jak wyjmował z ucha wróbla I zamieniał wróbla w rubla; Jak hodował ryby w szafie, Bo ja sam to też potrafię!

Ale wreszcie przebrał miarę: Spotkał dwie babiny stare I przemienił je w dziewczęta; Jedną wydał za rejenta, Z drugą stanął w Zawichoście I wyswatał ją staroście.

Lecz już rankiem przy niedzieli Całą sztuczkę diabli wzięli. Prysły młodych żon powaby, A zostały stare baby - Obie krzywe, obie siwe I okropnie gadatliwe.

Wściekł się rejent, wściekł starosta, Ale sprawa nie jest prosta, Bo gdy ksiądz połączy ślubem, Luba musi zostać z lubym.

Poszły skargi na Fikusa, Skrył się Fikus do lamusa, Gdyż z powodu jego sztuczek W Sandomierskiem powstał huczek I już pleban oburzony Chciał potępić go z ambony

Uderzywszy więc w pokorę, Fikus wybrał się wieczorem Na plebanię i ze skruczą Drapał się to w nos, to w ucho. Ksiądz rzekł wreszcie: „Dobra nasza, Moja kasza - twoja flasza, Rozegramy to w mariasza!”

Fikus szybko rozdał karty, A że bał się nie na żarty, Przegrał tyle, ile trzeba, Żeby dostać się do nieba.

Wziąwszy tedy rozbrat z grzechem, Fikus rad pożegnał klechę, Uśmiechnięty dosiadł konia, Kłusem puścił się przez błonia I wołając:

„Znaj Łysonia! Hokus-pokus, fikus-pikus!” Pocwałował wprost do Dwikóz.

Wszedł do domu, staje, patrzy... „Co to? Kto to?” - rzekł poblądłszy. Podszedł bliżej... Tak, to one, Dwie staruchy nastroszone, Starościna z rejentową Zabawiają się rozmową. Fikus groźnie spojrzął na nie: „Cóż to znaczy, moje panie?”

„Co to znaczy? Nic nie znaczy Ot, nie mogło być inaczej. Wypędzili nas mężowie, No i dobrze, i na zdrowie! Odstawili nas tu koczem, Gadać teraz nie ma o czym.

Tymon Fikus zbladł ze złości. „Ależ bies mi nasłał gości! Po co? Na co? Jakim prawem? Rozstaniemy się niebawem!” I potrząsnął już rękawem, Aby zakląć baby w żaby, Ale rozmach wziął za słaby; Chciał przemienić je w dwie miotły, Lecz mu palce się zaplotły; Zebrał w sobie cały zapał I wysiłał się, i sapał, By je zmienić w łyżki stare, W białe myszki, w kapców parę, W dwie marchewki, w dwa rogałe, Lecz mu jakoś nie szło wcale.

Tupał, klaskał, bił się w łydki, Klął pod nosem w sposób brzydki, Wreszcie krzyczęc jął jak dzikus: „Hokus-pokus, fikus-pikus!”

A staruchy zeń szydziły: „Cóż to, kumie? Zbrakło siły? Kum czarować już nie umie? Z kumem jest niedobrze, kumie!”

Poszły potem do spizarki, Wyciągnęły słoje, garnki, Połudwicę i półgęski, Choć to przecie przysmak męski Jadły sobie do wieczora, Pociągając miód z gąsiora, Obie krzywe, obie siwe, I okropnie gadatliwe.

Fikus patrzył z gniewu siny, Wycierając pot z łysiny. Stał na głowie pół godziny, Do pomocy wziął koguta, Sypał proso do surduta, Szukał zaklęć w księdze grubej, Coraz nowe robił próby, Wreszcie zgrzytnął, gwizdnął, cmoknął I... wyskoczył w mrok przez okno.

Co z nim stało się, nikt nie wie. Był podobno w Sochaczewie, Ktoś go widział, jak w Piotrkowie Na jarmarku stał na głowie, Potem zjawił się w Prabutach I udawał tam koguta, Inni mówią, że w Jaworze Zjadał szkło i łykał noże, A znów inni, że w Będzinie Popisywał się na linie.

Gdzie jest prawda - nie wiem. Tu się Kończą wieści o Fikusie.

Jeśli jeszcze coś usłyszę, Zaraz dalszy ciąg dopiszę, Może wierszem, może prozą, I przekażę wnet Dwikozom. Niech w archiwach to zachowa Miejska Rada Narodowa.

Baśń o stalowym jeżu

Na ulicy Czterech Wiatrów Niedaleko Bonifratrów Do zachodnich ścian przytyka Sklep Magika Mechanika. Sklep ten zawsze jest zamknięty Lecz przez okno wystawowe Widać różne dziwne sprzęty, Różne części metalowe, Tajemnicze instrumenty, Automaty, lalki, skrzynki, Nakręcane katarynki, Śpiewające psy i świnki.

Z głębi sklepu znad stolika Patrzą oczy Mechanika. Widać jego twarz niemłodą, Okoloną rudą brodą, Duże uszy, nos spiczasty I krzaczaste brwi jak chwasty

Całe noce Magik siedzi Pośród zwojów drutu z miedzi, Warzy zioła, praży kwasy I uciera kuperwasy. Kto zobaczy Mechanika, Tego zaraz lęk przenika, Ten ucieka od wystawy, Choćby nawet był ciekawy.

Dnia pewnego w październiku Napłynęło chmur bez liku, Runął wichur porywiście, Poleciały żółte liście, Zaciemniły się błękity, Zgęstniał mrok niesamowity. Snadź żaloszny śpiew jesieni Albo napływ nocnych cieni, Albo gwiazd zupełny zanik Sprawił właśnie, że Mechanik Usnął nagle przy stoliku Dnia pewnego, w październiku.

Spał jak kamień. A tymczasem Drzwi rozwarły się z hałasem I ze sklepu na ulicę W noc, w jesienną nawałnicę Wybiegł z chrzęstem jeż stalowy Miał przyłbicę zamiast głowy, Od przyłbicy

aż po pięty W stal hartowną był zaklęty. Miał też pancerz - z każdej strony Mnóstwem igieł najeżony, Nadto miecz ze stali twardej, Tarczę tudzież halabardę.

Jeż przez chwilę nasłuchiwał, Coś wspominał, coś przeżywał. Spojrzał w noc październikową I zacisnął pięść stalową. W krąg ulica była pusta. Mrok narastał, wiatr nie ustał, Deszcz jesienny w szyby chlustał.

Co się stało, to się stało, Widać tak się stać musiało, Jeż więc naprzód ruszył śmiało, Pędził w dal opustoszałą, Pod murami się przemykał I w zaułkach ciemnych znikał. A gdy biła jedenasta, Jeż opuścił mury miasta.

Minął sady i ogrody, Przebiegł szybko gaik młody, Aż wydarłszy się zawiei Jeż stalowy dopadł kniei. Tu odetchnął. Leśne zmory W dziuplach jadły muchomory, W opuszczonym jarze strzygi Odprawiały na wyścigi Swoje plasy i podrygi, Wiedźmy spały w gniazdach wronich, Sowy piały, a koło nich, Wskoczywszy na wierzchołek Na piszczałce grał Dusiołek.

Jeż przez chwilę odpoczywał, Coś wspominał, coś przeżywał, Lecz niebawem ruszył dalej, Budząc wiedźmy chrzęstem stali

Brzask od wschodu jaśniał złudnie, A Jeż zdążył na południe, Stał właśnie na polanie, Gdy znienacka, niespodzianie Ujrzał tam, gdzie rzędzie knieja, Czarodzieja Babuleja.

Miał Babulej łeb jak skała, Z nozdrzy para mu buchała, Wylatywał ogień z gęby, Miał ramiona jak dwa dęby, Każdą nogę miał jak wieża. Gdy się ocknął, spostrzegł Jeża

Był Babulej tak potężny, Że Jeż mężny i orężny Zbladł - o ile jeże bledną, Ale to jest wszystko jedno. Rzekł Babulej: „Hej, rycerzu, Hej, stalowy dzielny Jeżu, Jaka moc i jaka władza Do tej kniei cię sprowadza? Czy przybywasz do mnie w gości, Czy chcesz zabrać moje włości, Czy też cel masz niedościgły, Aby we mnie wbić swe igły?”

Jeż zawołał: „Dobrodzieju, Czarodzieju Babuleju, Od przyłbicy aż po pięty Jam stalowy Jeż - zaklęty Przez Magika Mechanika - I wprost żalność mnie przenika, Kiedy patrzę na mą zbroję, Na stalowe igły moje. Twoja mądrość jest bez miary, Powiedz, jak mam zrzucić czary? Dokąd iść mam? Wskaż mi drogę, Bo tak dłużej żyć nie mogę”.

Zastanowił się Babulej I do Jeża rzekł już czulej: „Z tej krynicy wody ulej. Kiedy nią przemyjesz oczy, Wnet przed tobą się roztoczy Gładka droga. Idź nią żwawo, Byle w prawo, zawsze w prawo! Gdy dotrzymasz tego święcie, Spadnie z ciebie złe zaklęcie” Jeż uściskał Babuleja. „W tobie cała ma nadzieja” - Rzekł z wdzięcznością. Bez przeszkody Nalał w dłoń cudownej wody, Wodą plusnął sobie w oczy, Aż tu nagle się roztoczy Droga gładka, lecz zawiała: Cała we mgłę się gubiła, Porośnięta przy tym była Migotliwą srebrną trawą. Jeż tą drogą ruszył w prawo.

Szedł bez przerwy aż do zmroku, Nie zwalniając nawet kroku, Ani nie jadł, ani nie pił, Tylko chłodem się pokrzepił. Dziwne dziwy widział z lewa: Migdałowe kwitły drzewa, Kolorowych słońc ulewa Oblewała piękne place, Na nich domy i pałace, A w pałacach rajskie ptaki, A w ogrodach złote maki, A wokoło mleczone rzeki Zdążające w świat daleki.

Jeża złudy nie skusiły. Wyteżając wszystkie siły, Ciągłe w prawo szedł po drodze Pamiętając o przestrodze. I po stronie właśnie prawej Ujrzał Jeż rtęciowe stawy. Falowała rtęć srebrzyście I srebrzyła się faliście, I jaśniała uroczyście, Blask rzucając na wybrzeża, Na dal mroczną i na Jeża.

Jeż przed siebie śmiało dążył, W żywym srebrze się pogrążył I przez rtęci śliskie fale Płynął silnie i wytrwale. Stoczył przy tym bój zajadły, Bowiem zewsząd go opadły Wyglodniałe, złe trytony, Ale on, niezwyciężony, Mieczem rąbał i wywijał, Aż je wszystkie pozabijał. Gdy Jeż stawy wreszcie przebrnął, Połyskiwał zbroją srebrną.

Kroczył naprzód niestrudzony, Rtęcią złudnie posrebrzony, Miecz wyostrzył, jak należy, A gdy mrok się rozlał szerzej, Zszedł w Dolinę Nietoperzy. Czuł, że bój nie będzie blachy: Nietoperze z kutej blachy, Z metalicznym skrzydeł chrzęstem, Uderzyły rojem gęstym, Ómy blaszane o północy Przyleciały do pomocy, A ze szczelin pełzły strachy, Nocne strachy z kutej blachy.

Jeż odważnie się najeżył, Halabardą się zamierzył, Wpadł w sam środek nietoperzy I na oślepieciał z rozmachem Napastliwą groźną blachę. Ciem padały całe stosy, A on wciąż zadawał ciosy, Nietoperzy chmary tępił, Tarczę pogiął, miecz przytępił, Deptał blachę pokonaną, A gdy bój się skończył rano, Stwierdził Jeż swój triumf świeży, Więc z Doliny Nietoperzy, W której posiał śmierć i trwogę, Wyszedł znów na gładką drogę.

Mgła, jak zwykle, drogi strzegła, Droga prawą stroną biegła. A gdy świt był niedaleko, Stał Jeż nad wielką rzeką. Nurt burzliwy i spieniony Tworzył wiry z prawej strony. Jeż to zoczył, lecz nie zboczył, Tylko w środek wirów skoczył. Płynął śmiało jak na połów, A gdy przemógł moc żywiołów, Ujrzał Wyspę Trzech Bawołów. Był na wyspie las potężny, Nie drewniany, lecz mosiężny, Z lasu, sadząc przez wądoły, Wskoczyły dwa bawoły I ruszyły wprost na Jeża, Który dotknął już wybrzeża. Ziemia drżała, tratowana Przez bawoły. Gęsta piana Wystąpiła im na pyski, W ślepiach drgały krwawe błyski, A kopyta ich potężne, Nie zwyczajne, lecz mosiężne, I mosiężne wielkie rogi W sposób groźny i złowrogi Skierowały się na Jeża: Tylko bawół tak uderza. Jeż, do walki już gotowy, Wyjął z pochwy miecz stalowy, W bok uskoczył i zawzięcie Rąbnął mieczem. Straszne cięcie Zmiotło sześć bawolich rogów, Które spadły wśród rozłogów. Ich mosiężny dźwięk rozbrzmiewał, O mosiężne tłukł się drzewa I przez echo powtórzony, Brzmiał i grzmiał na wszystkie strony.

A bawoły chyląc głowy Legły rzędem. Jeż stalowy Stał podparty halabardą I przyglądał się z pogardą Pokonanym swoim wrogom I mosiężnym wielkim rogom, Po czym w prawo ruszył drogą. Dziwne dziwy widział z lewa: Z białych skał sfrunęła mewa Trzepotliwa, śnieżnobiała, W dziobie złoty klucz trzymała, Kluczem skały otwierała, Otwierała złote bramy, Skarbce, zamki i sezamy.

On szedł w prawo, ciągle w prawo, Gardził złotem, gardził strawą, Szedł bez przerwy, aż do zmroku, Nie zwalniając nawet kroku. Ani nie jadł, ani nie pił, Tylko chłodem się pokrzepił.

Kiedy tak przez piachy kroczył, Z pochwy naraz miecz wyskoczył I pofrunął w dal z łoskotem, Tarcza za nim w ślad, a potem Halabarda, mknąc przed siebie, Znikła szybko w nocnym niebie.

Jeż oniemiał, Jeż się zdumiał, Ale zanim coś zrozumiał, Jakaś siła niebywała Nagle z ziemi go porwała I poniosła jak źdźbło słomy W świat daleki, niewiadomy.

Jeż w niezwykłym swoim locie Widział gwiazd jarzących krocie, A pod sobą czarną chmurę, A przed sobą wielką górę Niebotyczną i wyniosłą - Do niej właśnie Jeża niosło.

Jeż wyteżył wyobraźnię, Wzrok wyteżył i wyraźnie Widział teraz i miarkował, Że to Góra Magnesowa Z dali ciemnej się wyłania, Że jej siła przyciągania, Nieodparta i straszliwa, Stał unosi i porywa.

Leciał Jeż jak srebrna kula, Brzęczał tak jak pszczoła z ula, Góra przed nim w oczach rosła Niebotyczna i wyniosła, Wreszcie gniewny i ponury Przyłgął Jeż do zbocza góry.

Stał bezbronny, pełen trwogi, Magnes więził jego nogi I krępował wszystkie ruchy, Tak jak muchę lep na muchy.

Chcąc się wyrzec z tej niewoli, Jął poruszać się powoli, Jął powoli piąć się w górę, Nie zważając na wichurę. Szedł pięć godzin, aż o świcie Wreszcie znalazł się na szczycie

Był tam pałac z gwiazd wysnuty I był człowiek w złocie kuty I obuty w złote buty. A dokoła w barwnej śniedzi Stali ludzie z brązu, miedzi I z mosiądzu, i z ołowiu - Stali wszyscy w pogotowiu. Władca Góry Magnesowej Do zdobyczy swojej nowej Krzyknął: „Jam jest w złocie kuty I obuty w złote buty, Bezprzykładna dzielność twoja Ani pancerz, ani zbroja Nie uchronią cię przede mną. Ja mam taką moc tajemną, Że się tylko stałą żywią I na górze tej szczęśliwie Miedzią, brązem i mosiądzem Jak posłusznym ludem rządę. Broń się, Jeżu! Mam ochotę Stal twą przebić ostrzem złotym!”

Jeż zawołał: „Niech się stanie! Chodź, przyjmuję twe wyzwanie. Nie mam miecza ani tarczy, Ale igieł mi wystarczy!” Po tych słowach pięść zacisnął, Złoty rycerz tarczą błysnął, Błysnął złotym swym pancerzem, A gdy stanął tuż przed Jeżem, Porwał szybko w dłoń waleczną Złotą klingę obosieczną.

Zawrzał bój. I brzęk metali, Naprzód złota, potem stali, Dookoła się rozlegał I wraz z echem w dal wybiegał. Nagle dopadł Jeż rycerza I straszliwa igła Jeża W pancerz wbiła się ze zgrzytem Rycerz zachwiał się, a przy tym Krwi czerwonej kropla spadła, Krew trysnęła na wiązadła, Na napierśnik, na przyłbicę, Na stalowe rękawice.

Właśnie krwi tej kropla świeża Złe zakłęcie zdjęła z Jeża. Pękła stal, przyłbica spadła I dziewczyny twarz pobladła Wyłoniła się ze stali, A tu stal pękała dalej, Opadała jak łupina - Wyszła z niej na świat dziewczyna Jawiąc wdzięki swe dziewczęce I dziewczęce białe ręce, I kibici kształt powabny, Obleczone w strój jedwabny. Rycerz patrzył ze zdumieniem, Podszedł, objął ją ramieniem I na jego pierś złocistą Łza jej spadła kroplą czystą.

I - o Boże! - Łza ta świeża Zdjęła czary złe z rycerza, Złoto spadło zeń. Okowy Władcy Góry Magnesowej Nie zdołały już się ostać I młodzieńca piękna postać Przed dziewczyną kornie stała, A dziewczyna promieniała, Białe ręce wyciągała.

Świat spowiła mgła różowa, W mgle tej Góra Magnesowa Rozpłynęła się, przepadła, Tak jak nikną złe widziadła I dokoła zaszła zmiana Niewidziana, niespodziana: Migdałowe kwitły drzewa, Kolorowych słońc ulewa Oblewała piękne place, Na nich domy i pałace, A w pałacach rajskie ptaki, A w ogrodach złote maki, A dokoła mleczne rzeki Zdążające w świat daleki. Cały bezmiar grał i śpiewał. Z białych skał sfrunęła mewa, Trzepotliwa, śnieżnobiała, W dziobie złoty klucz trzymała Kluczem skały otwierała, Otwierała złote bramy, Skarbce, zamki i sezamy.

A młodzieniec rzekł najczulej:

„Zaczarował mnie Babulej, Zakuł w złoto swym zaklęciem, A ja jestem sławnym księciem, Dzielnym księciem Złotowojem, Właśnie jesteś w państwie moim”.

„A ja - rzekła mu dziewczyna - Jestem panna Klementyna, Pasierbica Mechanika - Śledziennika i magika. Ach, to złośnik jest nieczuły, Jego słowa mnie zakuły W stal okrutną, w postać Jeża, Który nie wie, dokąd zmierza.” „Porzuć troskę nadaremna - Rzekł Złotowój. - Zostań ze mną. Mowie serca chciej uwierzyć, Pragnę z tobą życie przeżyć, Będziesz dobrą moją żoną, Szanowaną i wielbioną, Mieszkać będziesz w tych ogrodach, Wchodzić będziesz po tych schodach, Siedzieć będziesz na tym tronie, Jak przystało mojej żonie!”

Klementyna się zgodziła, Była dobra, była miła, Z mężem dużo lat przeżyła W wielkim szczęściu i bez waśni I to właśnie koniec baśni.

Na ulicy Czterech Wiatrów Niedaleko Bonifratrów Do zachodnich ścian przytyka Sklep Magika Mechanika. Sklep, zamknięty na trzy spusty, Jest od dawien dawna pusty, Lecz przez szybę wystawową, Gdy do szyby przylgnąć głową, Widać wielką pajęczynę. Pająk wątłą swą tkaninę Utkął z nudów i z nawyku Dnia pewnego, w październiku.

pk

Wyprawa na „Ariadnie”

I

Lat temu z górą trzysta Mnich Brandon - archiwista Opisał po łacinie Na żółtym pergaminie
Przedziwne swe podróże. Ja światu się przysłużę I to, co pisał mnich, Przekażę w wierszach tych.

Nim Brandon został mnichem Junakiem był nielichym, Wynajął więc korwetę, Bo czasy były nie
te, Gdy można rejsem skorym Popłynąć na „Batorym”. On na korwetę wszedł I na niej ruszył w
świat.

Korweta była stara, Łat miała co niemiara, A zwała się „Ariadna”. Cóż, nazwa dosyć ładna!
Kapitan stał na straży Piętnastu marynarzy I każdy go się bał, A jak się zwał, tak zwał.

Kapitan - chwyt nad chwaty, Był rudy, zezowaty I nie miał ręki prawej, W dodatku był kulawy.
Miał złoty kolczyk w uchu, Nóż dyndał mu na brzuchu I każdy przed nim drżał, A jak się zwał, tak
zwał.

Wieść głosi, że poza tym W młodości był piratem I wielkie skarby zebrał: Dwadzieścia worków
srebra, Pięć skrzyń talarów złotych, Brylanty i klejnoty, I ząb cesarza Chin, Czang-Fu, z dynastii
Min.

Cesarski ząb ten pono Miał moc nadprzyrodzoną: Hartował więc żelazo, Ochraniał przed zarazą,
Strach rzucał na załogę, Wskazywał w nocy drogę I strzegł od morskich trąb Ten czarodziejski ząb.

Kapitan swe zdobycze Na wyspie tajemniczej Zakopał w głębi góry, Ale zapomniał, której.
Daremnie szukał potem, Co roku mknąc z powrotem W zawieję, w burzę, w ziąb, Lecz zwiódł go
chiński ząb.

Przejęty niesłychanie Rzekł Brandon: „Kapitanie, Chcę mknąć przez oceany, Chcę odkryć ląd
nieznany Lub wyspę tajemniczą!” Kapitan mruknął:

„Byczo! Jest niedaleko stąd Nieznany całkiem ląd,

Wysp różnych jest bez liku, Zawiozę cię, młodziku, Do Afryki, do Azji, Nie zbraknie mi fantazji.
Podróże i odkrycia To pasja mego życia, Mam przygód wieczny głód. Załoga! Kurs na wschód!”

li

W noc na świętego Freta Ruszyła więc korweta. Wiatr dał w rozpięte żagle, Wtem sztorm się zerwał nagle, Bałwany wokół wrzały Zmywając pokład cały, A żywioł huczał, wył, Aż zbrakło wszystkim sił.

Majtkowie po „Ariadnie” Miotali się bezładnie, Drżały im z trwogi łydki I klęli w sposób brzydki. Kapitan łypał białkiem I głowę stracił całkiem, A sternik - stary Szwed Do swej kajuty zszedł.

Kapitan splunął w morze, Pogroził majtkom nożem I chwili tej, tak ważkiej, Pił rum z pękatej flaszki. Gdy flaszka była pusta, Rękawem wytarł usta, Sklął marynarską brać I w końcu poszedł spać.

Majtkowie z magazynu Wywlekli beczkę dzinu I wnet, nie myśląc wiele, Popili się jak beły, Aż twardy sen ich zmorzył. Spać sternik się położył, Kapitan także spał, A jak się zwał, tak zwał.

Nasz Brandon nie tknął trunku, Trwał sam na posterunku, Spoglądał w odmęt siny, Sterował, ścigał liny. Dokoła wrzała burza, Dziób statku się zanurzał, A on, choć cały zmokł, Wyteżał w ciemność wzrok.

Gdy wstawał dzień ponury, Wziął Brandon mocne sznury I związał kapitana. Załogę zbudził z rana I rzekł: „Objąłem władzę, Korwetę ja prowadzę, A kto mi powie „nie”, Piach będzie gryzł na dnie!”

„Nie! - wrzasnął sternik. - Hola! Mój ster jest i busola, Nie oddam ci korwety!...” Tu urwał, bo niestety, Nim rzekł ostatnie słowo, Poleciał na dół głową Rekinom wprost na żer, A Brandon objął ster.

Załogę zdjęła trwoga, A była to załoga Wśród marynarskich drużyn Najśmielsza: jeden Murzyn, Trzech Szkotów, Hiszpan stary, Malajczyk, Włoch z Ferrary, Fin, Francuz, Greków trzech, A nadto kucharz Czech.

Był Brandon młody, krzepki, Miał w głowie wszystkie klepki, Przebiegał więc korwetę I groził pistoletem. „Uważać, skąd wiatr wieje! Do żagli - marsz! Na reje! Galopem! A kto kiej, Dostanie kulę w łeb!”

Po groźnej tej przemowie Rozbiegli się majtkowie, Ten żagle pocerował, Ów dziury zakitował, Inny na maszt się wdrapał I w taki wpadli zapał, Że nawet kucharz-leń Krem ubił na ten dzień.

Rzekł Brandon do Hiszpana: „Przyprowadź kapitana, Konopną linę masz tu, Uwiążesz go do masztu; Malajczyk ci pomoże. No już! Bo wrzucę w morze!” O, Brandon to był chwyt, A miał dwadzieścia lat!

lii

Kapitan - proszę, zważcie - Po chwili stał przy maszcie Związany grubym sznurem. Spojrzenie miał ponure I groźnie łypał zezem Na całą tę imprezę, Bo był zawzięty człek, A Brandon tylko rzekł:

„Tu nie ma co się biesić, Mam prawo cię powiesić Jak tego, który stchórzy Na morzu podczas burzy. Ja ci daruję życie, A ty mi należycie Do skarbów drogę wskaż. Mnie piątą część z nich dasz”.

Kapitan odrzekł smutnie: „Wygrałeś! Skończmy kłótnię. Masz prawo i masz siłę, Ja także tak robiłem. Sternikiem twym zostanę, A ty bądź kapitanem. Bierz nóż mój, do stu bomb!” Mój nóż i chiński ząb!”

Sznur Brandon przeciął nożem I rzekł: „Mnie cieszy to, że Omówił wszystko szczerze. Idź, bracie, stań przy sterze, Sam tego chciałeś, nie ja, Pomyślna idzie wieja, Więc prujmy głębie wód Kierując się na wschód”.

Zszedł Brandon do kajuty, Zdjął kaftan, ściągnął buty I zjadłszy kotlet świński, Jął ząb cesarsko-chiński Oglądać i obracać, Paznokciem pilnie macać, Aż niespodzianie wpadł Na mały złoty ślad, Na mały punkcik złoty. Wnet wziął się do roboty I punkcik wcisnął igłą. Wtem serce w nim zastygło: Zabrzmiała pozytywka, Rozległa się przygrywka, Która pieściła słuch Niby bzykanie much.

Następnie spod sprężynki Wyrzała główka Chinki Maleńka jak ziarenko I przemówiła cienko: „Ktokolwiek jest w pobliżu, Kto da ziarenko ryżu Księżniczce Sun-Li-Tse, Otrzyma to, co chce”.

Po chwili Chinka znikła, Tylko przygrywka nikła Jak mucha znów bzyknęła. Sprężynka się zamknęła, A Brandon nieprzytomnie Zawołał:

„Kucharz! Do mnie! Galopem! Gadaj, czyż Jest na korwecie ryż?”

Lecz kucharz westchnął: „Szkoda, Ryż nam zalała woda I cały zapas hurtem Rzuciłem dziś za burtę”. Na pokład wybiegł Brandon: „Hej, wy, piracka bando, Rabunku nadszedł czas. Czy kto nie mijał nas?”

„Mijało korwet wiele, Mijały karawele, A tam po fal głębinie Kupiecki statek płynie.” Rzekł Brandon podniecony: „Podejźmy z lewej strony, Uderzyć trzeba stąd. Uwaga! Szykuj lont!”

Gdy statki się zrównały, Zawołał Brandon śmiały: „Stać! Ja mam w waszą stronę Armaty wymierzone, Zatopię ten wasz rupieć! Czy chcecie się okupić? Nie żądam złotych gór, Lecz ryżu jeden wór!”

To słysząc, wnet szalupę Kapitan słał z okupem. I znów po wód głębinie Na wschód korweta płynie. Wtem Grek zawołał z dzioba: „Wytrzeszczam ślepią oba, Przeszywam dał na wskroś I w dali widzę coś!”

Tu Brandon wlaź na reję: „Hej! wyspa tam widnieje! Dostrzegam na niej wieżę I mur, co wyspy strzeże, Lecz nie ma jej na mapie. Czy sternik się połapie?” Rzekł sternik: „Nie wiem sam. Najlepiej płynmy tam”.

lv

Na brzegu stał tłum ludzi, A wszyscy byli rudzi, Wszyscy zielonoskórzy, Półnaczy, a niektórzy Mieli niemądre miny I sztuczne nosy z gliny, A wydłużone tak, Że siadał na nich ptak.

Nasz Brandon nie znał trwogi. Na czele swej załogi Do wyspy przybił łódką I tak przemówił krótko: „Po morzach król mój hula, Przybywam tu od króla, Pocisków mam w sam raz Tyle, by podbić was”.

Tak rzekł. Lecz tłum tubylczy Przygląda się i milczy. „Cóż by to znaczyć miało?! - Zawołał Brandon śmiało. - Stoicie niby mumie, Czy mówić nikt nie umie? Czy z armat mam was tłuc? Hej! Który tu jest wódz?”

Wtem sternik niespodzianie Zawołał: „Kapitanie, Tu nie potrzeba walki, To są po prostu lalki, Po prostu kukły z wosku Zrobione po mistrzowsku Lecz kto, do diabłów stu, Mógł je ulepić tu?”

W głąb wyspy więc ruszyli I po niedługiej chwili Ujrzeni wśród równiny Mustangi z plasteliny I dżungli gąszcz splełany Z zielonej porcelany, A wśród gipsowych drzew Stał marmurowy lew.

Zwisały z palm gipsowe Orzechy kokosowe, Pękate ananasy Lepione z wonnej masy I pęk daktyli złotych Z błyszczącej terakoty, A nad tym - szklana mgła I roje much ze szkła.

Na starym baobabie Papugi w barw powabie Wmieszane w szklane liście Mieniały się wzorzyście, A były z porcelany Misternie malowanej. Brandona zdjęła złość: „Mam dość tych kukieł, dość!

Mam dość teatru lalek, Czas leci, mrok już zaległ, A choć to nawet ładne, Wracamy na „Ariadnę”. Gdzie mapa? Wyspę nową Nazwiemy Kukielkową. Wracamy! Oto łódź. Chcę znowu fale pruć!”

V

I znów po wód głąbinie Na wschód korweta płynie. Dał wietrzyk bardzo słaby, Więc sternik łowił kraby, Włoch w szachy grał z Murzynem, Szkot się pokrzepiał dżinem, A Brandon, zmyślny człek, Do swej kajuty zbiegł.

Ząb chiński wziął ze skrzynki - Twarz Chinki spod sprężynki Wyjrzała wąską szparką. On dał jej ryżu ziarnko I szepnął: „Mnie się marzy Ukryty skarb korsarzy!...” Odparła: „Sternik-Szwed Odnajdzie drogę wnet”.

Rzekł Brandon: „A to bieda! Wrzuciłem w morze Szweda, Już pewnie go rekiny Pożarły w głębi sinej. Za późno na wspominki”. Szepnęły usta Chinki: „O świcie ujrzysz ład, Naprawisz tam swój błąd”.

I znów po wód głąbinie Na wschód korweta płynie Wśród wichrów i wśród burzy. Na statku czuwa Murzyn, Trzech Szkotów, Hiszpan stary, Malajczyk, Włoch z Ferrary, Fin, Francuz, Greków trzech, a nadto kucharz Czech.

Miał Brandon oko czujne, Do tego szkła podwójne I patrząc przez lunetę Prowadził swą korwetę. „Sterniku - rzekł o świcie - Zezujesz znakomicie, Lecz spójrz, czy widzisz stąd Na horyzoncie ład?”

Rzekł sternik po piracku: „Niech trzasnę, święty Jacku, Na mapie widzę zmiany, To przecież ład nieznany, To przecież nie jest Libia, Nie Wyspa Wielorybia, Nie Ganda i nie Pont, To jest nieznany ład”.

Nasz Brandon nie znał trwogi Na czele swej załogi Przemierzał ląd nieznanym Tajemne snując plany. „Jak z Chinki słów wynika, Tu znaleźć mam sternika, Tu jest gdzieś stary Szwed...” Tak myśląc, naprzód szedł.

Lecz marsz ten nie był prosty, Bo wokół rosły osty I kolców gąszcz ruchliwy, I pięły się pokrzywy Sięgając aż do twarzy, Parzyły marynarzy I kłuły w czoło, w nos Jak rój złośliwych os.

Miał kucharz nóż kuchenny. „To oręż mój bezcenny, Dalibóg, nie jest tępy, Przetrzebię nim ostępy!” Jął machać nożem co sił, Ciął zielsko, rąbał, kosił I siekał jak na farsz, Wołając: „Za mną marsz!”

Vi

Gdy wolna była droga, W ślad za nim szła załoga. Już byli na polanie, Wtem z pokrzyw niespodzianie Wyskoczył stwór kolczasty, Kolczasty jak te chwasty, Miał z kolców głowę, brzuch I stał na kolcach dwóch, Miał rączki dwie kolczaste I oczki wyłupiaste, Ruchliwe, szarobure. Podskoczył zwinnie w górę, Siadł wierzchem na pokrzywie I wreszcie rzekł piskliwie: „Dyr-fir, chlu-chlu, pli-plaj, Loj-li, koj-pa, ta-taj”.

Rzekł sternik jednoreki: „Znam słowa te i dźwięki. To gwara krasnoludków Z morskiego szczepu Utków, Ten szczep miał przeszłość sławną Lecz już wyginał dawno, Zostali tylko dwaj: Pli-plaj i Pa-ta-taj.

Utkowie panowali Na wyspach Trulalali Lecz wyspy się zapadły; Utkowie bój zajadły Stoczyli z rekinami I dziś - widzicie sami - Zostali tylko dwaj: Pli-plaj i Pa-ta-taj.

Widzicie tu Pli-plaja, On wita i zagaja, A Pa-ta-taj z daleka Na przyjście nasze czeka. Ruszajmy, czasu szkoda, Przygoda - to przygoda, Poznamy nowy kraj, Hej, prowadź nas, Pli-plaj!”

Pli-plaj zeskoczył na dół, Napuszył się i nadał, Skierował kolce w prawo I naprzód pobiegł żwawo, A za nim, w słońca żarze, Kroczyli marynarze. Na czele Brandon szedł I myślał: „Gdzież ten Szwed?”

Był wszędzie piach dokoła. Pli-plaj raz po raz wołał: „Lin-len!” - co znaczyć miało, Że iść tu można śmiało. Wydawał przy tym piski Na znak, że cel jest bliski: „Zen-zej, tru-kloj, pli-pli”. Więc wszyscy za nim szli.

Vii

Przez piachy i równiny Szli przeszło trzy godziny, Lecz krasnoludki przecie - Jak wszyscy chyba wiecie - Godziny mają krótkie: Godzina trwa minutkę, A mila mierzy cal I dal - to nie jest dal.

Dlatego też po chwili Wędrowcy już przybyli Do skały, a przed skałą Ujrzeli postać małą, Koleczastą, w kształcie jaja. Poznali Pa-ta-taja, A ten z kolei znów Przemówił kilka słów.

Wśród wszystkich skał na świecie Tak dziwnej nie znajdziecie: Na zewnątrz była słona, A wewnątrz - wydrążona, A wewnątrz była słodka. Wszedł Pa-ta-taj do środka Przez bardzo ciasny właz, A za nim Brandon włazł.

W pieczarze wewnątrz skały Cukrzane sprzęty stały: Więc stół, a przy nim ławy, Na stole zaś potrawy Dymiły na półmiskach. Tu Brandon dojrzał z bliska Brodatą ludzką twarz. „Czyżby to sternik nasz?”

A sternik wstał i rzecze: „Poznajesz mnie, człowiecze? Nie zawiniłem wcale, A tyś mnie rzucił w fale Rekinom na pożarcie, Lecz wyznam ci otwarcie, Żem stary, chudy gnat, Takiego któż by zjadł?”

Płynąłem dobę całą, Bom pływak, jakich mało, Aż nagle z morskiej piany Wieloryb tresowany Wypływa, w bok mnie szturga. Wieloryb ten z Hamburga Przed rokiem z Zoo zwiął I mnie, zapewne, znał.

W Hamburgu najwidoczniej Nasz okręt spostrzegł w stoczni I potem nawet w wodzie Rozpoznał mnie po brodzie. Usiadłem mu na płetwie, Bom Szwed, a każdy Szwed wie, Jak płynąć, gdzie i skąd, By szybciej zejść na ląd.

Tu jestem trzy tygodnie, Tu dobrze mi, wygodnie, Tu żyję niczym w bajce Pliplajce - patatajce, Nie pragnę zmiany żadnej, Nie tęsknię do „Ariadny”, „Ariadnę” w pięcie mam, Chcę tutaj zostać sam!”

Rzekł Brandon: „Skończ gadanie, Nikt tutaj nie zostanie, Przybywam w samą porę. Na pokład cię zabiorę I krasnoludki oba, Bo tak mi się podoba! Załoga, do mnie! Hej! Brać ich z pieczary tej!”

Wnet marynarzy zgraja Porwała Pa-ta-taja, Pli-plaja i sternika. Już wyspa z oczu znika I znów po wód głębinie Na wschód korweta płynie, Burzliwy wiatr ją gna, Głęb huczy ode dna.

Viii

Do Szweda po obiedzie Rzekł Brandon: „Słuchaj, Szwedzie, Ja nie dam się kołować, Bierz ster, korwetę prowadź Przez morza, oceany Wprost tam, gdzie zakopany Piracki skarb jest wasz, A nie kręć! Ty mnie znasz! Każę cię w żagiel zaszyć I poślę ryby straszyć, Przekonasz się naocznie, A wiedz, że mam wyrocznie, Co ściśle przepowiada, Gdzie kłamstwo jest i zdrada. Chcę ujrzeć, jakem rzekł, Ten upragniony brzeg”.

Szwed odszedł i pod wąsem Uśmiechnął się z przekąsem A morze znów szaleje, Grzmią burze i zawieje I piętrzą się bałwany. Ach, gdzież ten ląd nieznany? Wytęża Brandon wzrok, Dmie wichur, zapadł mrok...

Wśród groźnej wód potęgi Ster pęka, trzeszczą wręgi, Konopne liny rwą się, Korweta w dzikim pląsie Raz po raz się zanurza, A wokół huczy burza I jęczy stary wrak, Aż ludziom sił już brak.

Po ciemnym fal bezkresie Korwetę wichur niesie Jak szczapę, jak łupinę Rzuconą w nurty sine. I w tym momencie właśnie Malajczyk jak nie wrzaśnie: „Kamraci! Bóg nas strzegł! W pobliżu widzę brzeg!”

Wnet okręt siadł na piachu I było już po strachu. Nim dziób wybrzeże musnął, Każdy, gdzie stał, tam usnął, Wyciągnął się jak długi Po trudach tej żeglugi, A nawet Brandon-chwat Bez sił na pokład padł.

IX

Spał jak królowa śpiąca I spałby tak bez końca, Lecz nagle ktoś go zbudził - I ujrzał obcych ludzi. „Myśmy królewskie straże, Król cię sprowadzić każe, Król czeka, zbudź się już, Kareta stoi tuż.”

Zszedł Brandon więc z korwety, Wsiadł prosto do karety I spytał od niechcienia: „Czy jadę do więzienia?” „Do króla, kapitanie, jedziesz na posłuchanie... Król wrócił już, a tyś Przywiózł go właśnie dziś.”

Nic Brandon nie rozumie. Tłum zebrał się, a w tłumie Książęta i księżniczki. Już paż otwiera drzwiczki, Z pałacu już dworzanie Wychodzą na spotkanie, Prowadzą go przed tron I mówią: „Oto on”.

Król siedzi sam na tronie. „Poznajesz mnie, Brandonie? Jam pirat - chwyt nad chwaty, Bezręki, zezowaty I rudy, i kulawy. Spójrz, proszę, bez obawy: Zez minął, rękę mam, Lecz jestem wciąż ten sam.

A ot - peruka ruda... Cóż powiesz? Istne cuda? To wszystko były żarty:

Jam król Walenty Czwarty, Przede mną drży Wenecja, Holandia, Anglia, Szwecja, A ty związałeś mnie Jak wieprzka. Może nie?

A może tak nie było, Żeś mnie pozbawił siłą Dowództwa na okręcie? No cóż, przyznaję święcie, Że byłeś kapitanem Naprawdę niezrównanym I żeś ocalił nas W straszliwej burzy czas.

Ja zuchów takich lubię I właśnie po tej próbie Już dziś cię mianowałem Naczelnym admirałem. Masz, weź ten pierścień złoty, To znak dowódcy floty, Na palec pierścień włóż I płyn na podbój mórz.”

X

Brandona aż zatkało, Powiada więc nieśmiało: „Ogromnie sobie cenię Królewskie wyróżnienie, Lecz któż mi wytłumaczy, Co chiński ząb ten znaczy? I kukielkowy kraj? Pli-plaj i Pa-ta-taj?”

A na to król Walenty Odrzeczce uśmiechnięty: „Wszak to zabawki moje, Ja nienawidzę wojen I wszystkie moje sprawy Są tylko dla zabawy; W piratów, jak już wiesz, Lubię się bawić też.

Mam wyspy dla rozrywki, Mam chińskie pozytywki I lalek zbiór bogaty, I gnomy-automaty - Tu właśnie stoją one, Lecz nie są nakręcone; To mych magików dar, Mam tego kilka par.

Ja całe życie prawie Spędziłem na zabawie, Mój tron i moja flota To żart jest i pustota I nikt się nie połapie, Gdzie jest mój kraj na mapie; Czy żyję - nie wie nikt, Patrz, złoty pierścień znikł.

To także żart magika - Dwór znika, pałac znika, Znikają ludzie, konie, Znikniesz i ty, Brandonie”.
Lecz Brandon zbiegł ze schodów I uciekł w głąb ogrodów, I wpadł w uliczny tłum, I pędził aż pod tum.

W klasztorze został mnichem I tam, w ustroniu cichym, Opisał po łacinie Na żółtym pergaminie
Przedziwną swą przygodę. Ech, były lata młode I złoty pierścień był, I wicher w żagle bił...

Szelmostwa lisa Witalisa

I

Znano różne w świecie lisy: Był więc lis Ancymon Łysy; Pospolity lisek rudy, Pełen sprytu i obłudy; Lis niebieski - wielki sknera; Zezowaty lis przechera; Czarny lisek ogoniasty; Lis Patrycy jedenasty; Srebrny lis niezwykle szczwany; Lis Mikita spod Oszmiany; Lis Telesfor farbowany, Niebezpieczny i zawzięty; Lis Wincenty; lis Walenty; Lecz nie było w świecie lisa Ponad lisa Witalisa.

Miał Witalis taki ogon, Że nie było wprost nikogo, Kto nie stanąłby zdumiony: Taki ogon nad ogony! I falisty, i puszysty, I niezwykle zamaszysty, I ruchliwy, na kształt kity - Niezrównany, znakomity!

Gdy Witalis kroczył drogą, Wpierw widziano jego ogon, Co jak ruda chmura zwisa, A dopiero potem - lisa.

Gdy się lis pogrążył we śnie, Dziesięć ptaków jednocześnie W tym ogonie wilo gniazda, Niosło jajka, potem - jazda! Lis się budził niespodzianie I jadł ptaszki na śniadanie.

Gdy Witalis przed wieczorem Kucnął sobie nad jeziorem I potrząsnął swym ogonem, Wszystkie rybki zachwycone Wyływały bardzo prędko Za ogonem, jak za wędką: Lis je w sosie wyśmienitym Jadł na obiad z apetytem.

Był Witalis maści rudej, Niezbyt gruby, niezbyt chudy, Miał na prawym oku bielmo I był szelmą. Straszny szelmą! Miał rozumu za dziesięciu, Toteż w każdym przedsięwzięciu Wprawiał w podziw swoim sprytem, Wyrobieniem znakomitym, Orientacją doskonałą I dowcipem, jakich mało, A miał w sobie tyle dumy, Jakby wszystkie zjadł rozумы.

ii

Jest na wschodzie miasto Łomża. Gdy na wschód się dalej zdąży, Las wyrasta na bezkresie, Ciemny wąwóz jest w tym lesie, W tym wąwozie lis miał jamę, A w tej jamie - dziwy same. Więc lusterko posrebrzane, Które z tego było znane, Że gdy czyhał ktoś na lisa, Powstawała na nim rysa. Prócz lusterka miał pudełko, Dokąd zajrzeć mógł przez szkiełko, By ustalić w sposób łatwy, Gdzie zimują kuropatwy Lub na skraju jakiej łączki Zabawiają się zajączki.

Miał prócz tego srebrną misę Z ozdobami i z napisem: „Misa lisa Witalisa”. Zawsze pełna była misa I z niej nic nie ubywało, Choć Witalis jadł niemało. Miał ponadto złoty grzebień, Bowiem bardzo dbał o siebie I grzebieniem tym starannie Czesał ogon nieustannie, Rozczesywał raz i wtóry, Z góry na dół i do góry, I raz jeszcze, i na nowo Rozczesywał - daję słowo!

Był Witalis rodem z Polski, Lecz kapelusz miał tyrolski, W którym było mu do twarzy, Choć wyglądał nieco starzej.

iii

Raz posłyszał, że niedźwiedzie Są w tym roku w wielkiej biedzie; Więc nie tracąc chwili czasu Żwawo udał się do lasu. Przyszedł grzeczny, miły, gładki: „Cóż, robaczki? Cóż, niedźwiadki? Krucho z wami? Chodzą gadki, Że bezmięsne już obiadki Jeść musicie? Ziółka, kwiatki, Trawki, listki i sałatki? Chodzą gadki, że za miedzą Dwa zajączki małe siedzą, Które was za chwilę zjedzą! Wstyd mi za was! Gdy posucha, Niedźwiedź tylko w łapy dmucha. Gdzie popatrzeć - chuderlaci.

Przykry mi jest widok taki! Fe! Doprawdy nie wypada, Lepiej, gdy potrzebna rada, Przyjść po radę do sąsiada”.

Zawstydziły się niedźwiedzie: „Żle się nam ostatnio wiedzie, Poradź, poradź nam, sąsiedzie, Powiedz, lisie Witalisie, Jakie jest twe widzimię?”

Lis przycesał sobie ogon I powiedział z miną srogą: „Chodźcie za mną! Znam zagrodę, W której są prosięta młode, Jest was pięciu i dla pięciu Będzie dzisiaj po prosięciu!”

Ucieszyły się niedźwiedzie: „Prowadź, prowadź nas, sąsiedzie!” Poszli razem leśną drogą, Więc Witalis prężąc ogon Uroczyście szedł na przedzie, A za lisem w ślad - niedźwiedzie. Cztery stare, jeden młody.

Przyszli nocą do zagrody, Lis obejrzał parkan, chatkę I pociągnął za kołatkę. „Któż to straszy dzieci nocą? Kto przychodzi tu i po co?”

„To Witalis - lis odrzecz - Proszę, otwórz mi, człowiecze, Z chlewu zabrać chcę prosiaki, Bo mam dziś apetyt taki.”

Po tych słowach lis dał nurka, A tymczasem od podwórka Psów zjawiała się gromada. Każdy szczeka i ujada, Każdy groźnie zęby szczyrzy, Każdy gryzie, gdzie należy. Aż niedźwiedzie, pełne trwogi, Powiedziały sobie:

„W nogi! Ratuj, lisie Witalisie!”

Ale psom aż w ślepiach skrzy się I popadły w ferwor taki, Że fruwały tylko kłaki.

Lis tymczasem sunął boczkim Wbiegł przez furtkę drobnym kroczeniem Po szelmowsku mrugnął oczkiem, Wszedł ostrożnie do kurnika, Porwał kaczkę, gęś, indyka, Trzy kurczaki i perliczkę, Związał wszystko to rzemyczkiem I nie tracąc chwili czasu Pobiegł z łupem swym do lasu.

A niedźwiedzie nieszczęśliwe, Pogryzione, na wpół żywe, Kulejące, głodne, chore, Odszukały lisią norę.

„Przydybaliśmy cię, rybko, Dostyc żartów! Wyłaż szybko, Wyłaż, lisie Witalisie!”

Lis Witalis już po rysie Na lusterku poznał snadnie, Że nań gniew niedźwiedzi spadnie. Widząc, że mu coś zagraża, Lis ukazał się w bandażach, W plastrach, w szmatach i w gałganach: „Spójrzcie, cały jestem w ranach, Ogon strasznie mam zwichnięty, Pokąsane wszystkie pięty, Narażalem własne życie, By was bronić należycie. Wojna była nie na żarty, Psy walczyły jak lamparty, W sposób groźny i zażarty, Lecz wyjawić mogę skromnie, Że daleko im jest do mnie: Gdym wyskoczył z za chałupy, Padły pierwsze cztery trupy, Jeden pies już po minucie W przerażeniu wielkim uciekł Drugi chciał go wziąć w obronę, Więc zabiłem go ogonem. Cztery dalsze poranione Położyły się pod płotem I skonały wkrótce potem, A jedynie niedobitki Was napadły w sposób brzydki. Cóż, dostaliście po skórce, A dlaczego? Boście tchórze!”

Zawstydziło to niedźwiedzi, Brak im było odpowiedzi, Więc nie żaląc się nikomu Poszły głodne spać do domu. „Żegnaj, lisie Witalisie!” Spać lisowi ani śni się, Do swej jamy szybko wrócił, Zdjął bandaż, plastry zrzucił, Zerknął w lustro z miną błogą I przyczesał rudy ogon. Potem przyniósł chrustu wiązkę, Żeby upiec sobie gąskę. Gaska była taka wściekła, Że na ogniu raka spiekła, Lecz z natury była miła, Więc się pięknie zrumieniła I Witalis porcję tłustą Zjadł z jabłkami i kapustą.

lv

W czas zimowej chłodnej pory Wszedł lis ze swojej nory: „Do mnie, wszystkie głodomory, Do mnie z lasów, z kniei, z chaszczy, Mam ja coś dla każdej paszczy! Kto nie dojadł, ten się naję, Znam zwierzęce obyczaje, Znam zwierzęce apetyty I mam pomysł znakomity, Żeby każdy z was był syty”.

Zewsząd zbiegły się zwierzęta, Bo dla zwierząt to przynęta, Pokąd iskra życia tli się. „Gadaj, lisie Witalisie, Przybywamy całą zgrają, Bo nam kiszki marsza grają, Opowiadaj, lisie, ściśle, O niezwykłym swym pomyśle!”

Lis tych słów uważnie słuchał, Po czym rzekł zdejmując z ucha Swój kapeluszek zawadiacki: „Umiem piec ze śniegu placki, Mam do tego obok, w lasku, Piec własnego wynalazku. Kto dostarczy kupę śniegu I dorzuci mi do tego Połec sadła lub słoniny, Ten w niespełna pół godziny Prosto z pieca na śniadanie Placków tłustych niesłychanie Pełny taki wór dostanie”.

Mówiąc to potrząsnął worem, Że aż z wora nad otworem Buchnął, mile łechcąc w chrapach, Pieczonego ciasta zapach. Zaś Witalis prawił dalej:

„Mnie bynajmniej się nie pali, Takie placki stale jadam, Ale sobie trud ten zadam, By wyżywić was do wiosny, Bo wasz wygląd jest żaloszny. Co za placki! Szkoda gadać! Mógłbym tydzień opowiadać O ich cudnym aromacie, O ich smaku! Otóż macie”.

Z tymi słowy wyjął z wora Placków tuzin czy półtora I sam zjadł je z apetytem Pomlaskując sobie przy tym.

Po szelmowskim tym popisie Padły głosy: „Witalisie, Co się zjadło, to przepadło, Dostarczymy śnieg i sadło, Uczta będzie wyśmienita, Chcemy najeść się do syta, Chcemy placki mieć - i kwita!”

Lis przyczesał sobie ogon: „Placki jutro być już mogą”.

Więc nazajutrz bardzo wcześnie, Gdy las tonął jeszcze we śnie, Tłumy zwierząt szły w szeregu Wlokąc całe góry śniegu, A do tego jeszcze sadło - Tyle, ile go przypadło.

Lis już stał przed swoją norą, Spojrzał: owszem, sadła sporo! Pełen werwy i ochoty Wziął się zaraz do roboty; Zdjął kapelusz, duchem skoczył, Z pięćset śnieżnych kul utoczył, Każdą spłaszczyl szybkim ruchem, Tak jak robi się z racuchem, Schwycił sadło i rzetelnie Wysmarował nim patelnię, I choć to jest rzecz kobieca, Placki wkładać jął do pieca. Z pieca wnet buchnęła para, A Witalis już się stara, Już dorzuca nowe placki, Taki z niego kucharz chwacki.

Przyglądają się zwierzęta, Pilnie chodzą mu po piętach, Wprost doczekać się nie mogą, A Witalis pręży ogon, Zda się, wacha cudny zapach, Aż zwierzętom kręci w chrapach, Aż zwierzętom skręca kiszki, A Witalis zbiera szyszki I do ognia je dorzuca, Krąży, krząta się, przykuca. „Sadła jeszcze! Sadła! Prędzej! No, bo placki wam uwędzę!”

Po upływie pół godziny Niewyraźne strojąc miny Z pieca wyjął lis patelnię I do zwierząt rzekł beczelnie: „A to dziwna jest przygoda, Proszę, spojrzcie, sama woda! Z takim śniegiem trudu szkoda! Rozpuszczony, mokry, sypki, Mogłyby w nim pływać rybki, A mówiłem, że to nie to! Śnieg powinien być jak beton, Zamarznięty i w kawałkach. Taki właśnie jest w Suwałkach, W Augustowie, w Ostrołęce, A to co? Umywam ręce! Poszło całe wasze sadło, Tyle pracy mej przepadło, Nie nabiorę się powtórnie, Mam was dosyć, boście durnie!”

Zawstydziły się zwierzęta. Racja! Nikt z nich nie pamiętał, Że przed samym świtem jeszcze Padał śnieg zmieszany z deszczem A śnieg z deszczem jest wodnisty, Fakt dla wszystkich oczywisty.

Na nic całe przedsięwzięcie. Lis wykręcił się na pięcie, Spuścił ogon na znak smutku I do nory powolutku Poszedł, by się zamknąć w norze, Bo był w bardzo złym humorze.

Lecz gdy już odeszli goście, Wtedy z pieca jak najprościej Wyjął sadło, włożył w garnki, Garnki schował do spizarki, Po czym, dumny z tego zysku, Krzyknął: „Brawo, Witalisku!”

V

Jak co rok, w Zielone Świeta Zgromadziły się zwierzęta Dla obioru prezydenta. Jest to taka ważna sprawa, Że zwierzęce wszystkie prawa Dzień ten czynią dniem przymierza: Zwierz na zwierza nie uderza, Gęś jest pewna swego pierza Pies nie czai się na jeża, Owca może wyjść ze stada, Nikt nikogo nie napada, Kot nie drapie, wilk nie zjada, Nawet zając, choć ma pietra, Z odległości

kilometra Obserwuje te wybory, Nawet mysz wychodzi z nory, Nawet tchórz ze strachu chory Na wybory śpieszy żwawo, Bo mu wolno. Bo ma prawo.

Lis Witalis, wielki szelma, Łypie białkiem swego bielma, Pręży ogon znakomity, Zwisający na kształt kity, I w tyrolskim kapeluszu Krąży pełen animuszu.

Tu do wilka się przymili I coś szepnie, tam po chwili Do niedźwiedzia chyłkiem sunie, Jakieś słówko rzuci kunie, Chytrze mrugnie do jelenia, Jeża muśnie od niechcenia, Mysz ogonem połaskocze, Mimochodem Bóg wie o czym Porozmawia chwilkę z rysiemi. „Świetnie, lisie Witalisie!”

Wszyscy myślą: „A to szelma, Jakiś w tym, widocznie, cel ma”.

Już najstarszy wilk buławą Machnął w lewo, machnął w prawo, Takie jest zwierzęce prawo. Już wybory rozpoczęte - Któż ma zostać prezydentem?

Lis spryciarzem był bezsprzecznie, Więc o głos poprosił grzecznie, Wszedł na pień i w słowach kilku Tak powiedział:

„Zacny wilku I wy, wszyscy tu zebrani, Tak przeze mnie szanowani, Albo mówiąc wprost - zwierzęta, Macie wybrać prezydenta. Czyż jest ktoś, kto nie pamięta Zasług lisa Witalisa? W pięciu tomach ich nie spisać! Otóż ja, przed wielu laty, Gdym był młody i bogaty, W ciągu jednej tylko wiosny Zasadziłem tutaj sosny. Buki, dęby - niemal wszystko, By zwierzętom dać schronisko! Dla was szereg lat z zapalem Drób w kurnikach hodowałem, Dla was w chlewie tuczę wieprze, Byście mieli życie lepsze, Jestem waszym dobrodziejem, A sam nie śpię, a sam nie jem, Tylko myślę dniem i nocą, Jak zwierzętom przyjść z pomocą...”

Mruknął niedźwiedź do sąsiada: „Co tu gadać - dobrze gada!” Szepnął borsuk: „Jaka swada, Jaka dykcja i wymowa, To, przynajmniej, tęga głowa!” A tymczasem lis po chwili Ciągnął dalej: „Moi mili, Nie namawiam, ale radzę: Jeśli dziś otrzymam władzę, Daję słowo, że zasadzę W ciągu pięciu dni na piasku Drzewa mego wynalazku.

Już nie szyszki, nie żołędzie, Ale rosnać na nich będzie Schab surowy i pieczony, Boczki, szynki, salcesony, Mortadela i serdelki, Mięś przeróżnych wybór wielki, Nawet prosię w galarecie, Jeśli tylko zapragniecie”.

Wszystkim oczy aż zabłysły: „Lis niezgorsze ma pomysły, Niech zostanie prezydentem!” „Czy przyjęte?” „Tak! Przyjęte!” Niedźwiedź objął go za szyję I zawołał: „Niech nam żyje!” „Żyj nam, lisie Witalisie!” - Powtórzyły za nim rysie, Kuny, tchórze i jelenie Oraz całe zgromadzenie.

Po wyborach zgodnie z prawem Lis od wilka wziął buławę I do domu cztery kozły Z wielką pompą go zawiozły. Kiedy jechał leśną drogą, Wpierw widziano jego ogon, Co jak ruda chmura zwisa, A dopiero potem - lisa.

Już nazajutrz na polanie Zaczął lis urzędowanie; Kazał podać sobie korę, Wziął do garści pióro spore I ustawę za ustawą Jął wydawać z wielką wprawą:

- Zarządzamy, by zwierzęta Do użytku prezydenta Oddawały, prócz okupu, Czwartą część swojego łupu.
- Żeby każdy ptak od maja Aż do maja wszystkie jaja Niósł dla lisa Witalisa, Który żółtka z nich wysysa.
- Żeby kury i kurczęta Same szły do prezydenta I prosiły go ostrożnie, Aby upiekł je na rożnie.

Nie pamiętam już, niestety, Jakie prawa i dekryty Wydał jeszcze lis ponadto, Lecz zwierzęcy cały świat to, Pełen lęku i poddania, Wykonywał bez szemrania.

Upływały dni, tygodnie, Lis Witalis żył wygodnie, Łupił wszystkich, jak się dało, I korzyści miał niemało. Przed siedzibą jego zawsze Dwa niedźwiedzie co najzwawsze Stały sprawnie i wzorowo, Pełniąc wartość honorową.

Stały też jelenie cztery, By go wozic na spacer.

A wiewiórki przez dzień cały Przy ogonie się krzątały I chuchały, i dmuchały, I bez przerwy go czesały.

Nikt spokoju nie miał w lesie: Ten przyniesie, ten odniesie, Ten usłuży, tamten poda, Nawet borsuk-wojewoda, Choć to bardzo dumna sztuka, Był u lisa za hajduka, Więc złościło to borsuka.

Jadł Witalis za dwudziestu I zwierzęta bez protestu Napychały mu spizarnię, Chociaż same jadły marnie. Nigdy nie chciał z nikim gadać Ani nawet odpowiadać Na pytania, na podania I nie dawał posłuchania. Siedział dumny niczym basza, Jadł i mówił: „Sprawa wasza Dobrze dbać o mój żołądek, Taki musi być porządek. Jam prezydent, czyli władza, A jak komu nie dogadza, Niech zabiera się i zmiata, Jeśli nie chce wachać bata!”

Vi

Gdy już wreszcie lisi nierząd Klęską spadł na życie zwierząt, Wilk cichaczem, bez hałasu, Zwołał wielki wiec do lasu gdy wszyscy się zebrali, Rzekł: „Nie może być tak dalej! Czeka wszystkich nas zagłada, A jest na to jedna rada: Złapmy lisa lub zastrzelmy - Dość już rządów tego szelmy, Tego lisa Witalisa, Który soki z nas wysysa!”

Padły głosy: „Racja! Brawo!” „Lis Witalis gwałci prawo!” „Zniszczył wszystkich nas ze szczętem!” „Precz!” „Precz z takim prezydentem!”

I uchwalił wiec zwierzęcy, Że nie ścierpi tego więcej, Aby lis się tak panoszył, Że ryś z nory go wypłoszy, Po czym, gdy go schwycą strażę, Winowajcę wilk ukarze.

Lis tymczasem do lusterka Niespokojnym okiem zerka.

Nagle widzi: co to? Rysa? Strach obleciał Witalisa.

A tu rysa rośnie, rośnie, Załamuje się ukośnie I lusterko całe łamie. A Witalis siedząc w jamie Zimny pot ociera z czoła. Sprawa jednak niewesoła!

Machnął raz czy dwa ogonem, Po czym smutnie rzekł: „Skończone! Co użyłem, to użyłem, Dobrze jadłem, dobrze piłem, Za to teraz czas mi w drogę. Trudno. Zostać tu nie mogę!”

Zapakował parę waliz I chciał umknąć lis Witalis.

Zatrzymały go niedźwiedzie: „Po co śpieszyć się, sąsiedzie? Nie tak prędko, jeszcze chwilka, Wstąpić musisz w pierw do wilka, Wilk ma spraw do ciebie kilka”.

„Wilk zaprasza? Rzecz ciekawa!”

„Wilk cię wzywa w imię prawa.”

„Ani myślę! Nie chce mi się!”

„Mamy rozkaz, Witalisie, Lepiej się nie stawiaj hardo, Bo dostaniesz halabardę.”

Tu lisowi ścierpła skóra. Widząc, że już nic nie wskóra, Ciężko westchnął, spuścił ogon I potulnie ruszył drogą.

Wilk nań czekał w cieniu buka; Z prawej strony miał borsuka, Z lewej dzika. Nieco dalej Delegaci zwierząt stali.

Lis zatrzymał się w pół drogi, Ale wilk, ogromnie srogi, Ryknął:

„Blżej! Ruszaj mi się! Kara cię nie minie, lisie! Brać go!”

Wzięły go dwa rysie, Ten za nogi, ów za głowę; Wilk zawołał więc:

„Gotowe!” Wtedy wyszły dwie łasiczki; Miała każda z nich nożyczki.

Pochwyciły ogon lisa, Co jak ruda chmura zwisał, I do pracy się zabrały:

Cięły, strzygły, przystrzygały, Odrzucały rude pęki, Podcinały puszek miękki Szybko, zwinnie, lecz ostrożnie. A lis wił się jak na rożnie, Jęczał, szlochał zrozpaczony: „Taki ogon nad ogony Ostrzyc... zniszczyć! O, zbrodniarze! Jakże teraz się pokażę? Jak pokażę się z ogonem Tak nikczemnie ostrzyżonym?!” Rzeczywiście. Ogon lisa Zwisiał jak pałeczka łysa, A wiatr rudy puch rozwiewał I unosił ponad drzewa. Wypuściły lisa rysie, A wilk ryknął: „Wynoś mi się, Zmiataj, lisie Witalisie!” Lis uciekał, gdzie pieprz rośnie. Raz zatrzymał się przy sośnie I usłyszał zawstydzony, Jak się z niego śmiały wrony, Kuny, susły, nawet jeże - Każdy ptak i każde zwierzę:

„Taki ogon zamiast tyczki Mógłby być dla ogrodniczki!”

„Toż to sęk, nie żaden ogon!”

„Śmieszny widok, swoją drogą!”

„To ci ogon nad ogony!...”

Lis Witalis, ośmieszony, Wyszadzony, uciekł z lasu I już nikt od tego czasu Nie oglądał Witalisa - Nawet ja, com go opisał.

Pan Szczuka

Żył pan Szczuka pod Olkuszem. Łowił ryby kapeluszem, Straszyl jeże, muchy łapał, Wreszcie popadł w taki zapał, Że gdy zima w polu słabła, Na przynętę schwytał diabła.

A rozpoznał go po pysku, A przydybał na ściernisku.

Był ubrany diabeł modnie: Tabaczkowe nosił spodnie, Kusy fraczek granatowy, Zapinany do połowy, Kamizelkę, krawat nowy, A na samym czubku głowy Cylinderki ciemnoszary I rogowe okulary. Miał do tego bródkę krótką I gdy mówił, trząsał tą bródką.

Był pan Szczuka bardzo srogi, Więc do diabła rzekł: „Do nogi!” Wyjął smycz ze skóry byczej I uwiązał go na smyczy.

Diabeł buczał, diabeł mrucał, A pan Szczuka mu dokuczał: To go w plecy trącił nogą, To nadepnął mu na ogon, To przez ramię go przewiesił, Aż się bies ze złości biesił.

„Co pan robi, panie Szczuka? Czy pan zwady z piekłem szuka?” Lecz pan Szczuka ani pisnął, Tylko mocniej smycz zacisnął, Aż burczała w diable dusza, I tak szedł z nim do Olkusza.

Diabeł wścieka się i krztusi: „Panie Szczuka, pan mnie dusi, Niech pan w głowę się popuka, Niech pan puści, panie Szczuka!”

Lecz pan Szczuka słuchać nie chce, Diabła dręczy, drażni, łechce, Wreszcie rzecze: „Zamilcz, biesie, Bo wystraszysz pliszki w lesie!”

Zaczął diabeł z innej beczki: „Panie Szczuka, dość tej sprzeczki, Ja do piekła wracać muszę, Niech pan puści, bo się duszę, Oddam panu moją duszę, Tylko niech pan, u kaduka, Już mnie puści, panie Szczuka!”

A pan Szczuka szydzi z czarta: „Cóż jest twoja dusza warta? Mniej niż zgniła ulęgałka, Tyle ot, co gnoju gałka”.

A czart skomle: „Panie Szczuka, Niech pan prędko to odpuka, Mam ja duszę wyborową, Prawie nową, daję słowo, Nie zniszczoną, w dobrym stanie, Pan dziś takiej nie dostanie”.

„Dawaj! - w końcu rzekł pan Szczuka. - Jest w mym domu ruda suka, Może taka dusza czarcia Suce nada się do żarcia.”

Z tymi słowy smycz rozluźnił, Diabeł kwękał, szemrał, bluźnił I namęczył się niemało, Aż wykrztusił duszę całą, Po czym zniknął w cieniu buka. Tyle widział go pan Szczuka.

A na ziemi rozpostarta Pozostała dusza czarta.

Jął pan Szczuka gnieść ją w rękach: Była czarna, gładka, miękka Jak najlepsze sukno bielskie I nie poznać, że diabelskie.

Rzekł pan Szczuka: „Wiem, co zrobię! Frak z niej każę uszyć sobie!”

Był w Olkuszu krawiec taki, Który szył najlepiej fraki, Więc pan Szczuka w karnawale Był ubrany doskonale I wyjeżdżał co niedziela W nowym fraku na wesela.

Mądra sztuka był pan Szczuka, A dla głupich stąd nauka.

Za króla Jelonka

Był sobie pień, a w pniu siekiera... Drwał na wyręby się wybiera I do swojej żony tak powiada: „Z robactwem kłopot mam nie lada, Prusaki w kuchni, w szafach mole Muchy aż roją się w rosole, Komary spać nie dają przy tym, Trzeba to raz wytępić flitem. Niech zaraz Stefek i Janeczka Po flit pojedą do miasteczka I do porządków się zabierzcie, Żeby z tą plagą skończyć wreszcie”.

To rzekłszy drwal nie tracąc czasu Z siekierą udał się do lasu, A ja was bajką tą zabawię, Bo dobrze wiem, co piszczy w trawie Co w trawie piszczy? To owady, Wchodzące w skład królewskiej rady, Spieszą na tajne posiedzenie.

Król niecierpliwi się szalenie, Bo jak doniosły mu stonogi, Drwal powziął właśnie zamiar srogi - Owady tępić co do nogi. Sprowadził tedy papier lepki, Perskiego proszku dwie torebki, Stos muchołapek, flaszkę flitu I bój rozpoczął już od świtu.

Siedzi na tronie król Jelonek I w otoczeniu stu biedronek Sprawuje rządy. Z miną hardą Straż pełni krzyżak z halabardą, Tłum dworzan kornie chyli głowy, A trzymieli szwadron honorowy Stoi przy królu na polance I prezentuje przed nim lance.

Król słucha pełen niepokoju Ostatnich wieści z placu boju. Marszałek Bąk z wysiłku sapie, Gestykuluje i na mapie Objaśnia przebieg całej wojny. Generał Żuk jest niespokojny I tylko czeka na rozkazy. Król słuchał, ziewnął parę razy, Szerszeniom kazał grać pobudkę I tak przemówił z wielkim smutkiem

My, z bożej łaski król owadów, Jelonek Szósty, władca sadów, Ogrodów, łąk i pól, i lasów, Największy rycerz wszystkich czasów, Tak, jak to każe zwyczaj stary, Wzywamy wojsko pod sztandary. Wojna na dobre się rozpała. Nadeszła wieść, że w domu drwała Już się szykują do ataku Na ród owadów i robaków. Jeżeli wierzyć mamy słuchom, Zagłada straszna grozi muchom, Prusakom, pchłom i karaluchom. To samo czeka ćmy i mole. A ja was tępić nie pozwolę. Niech armia zaraz rusza w pole! Marszałkiem polnym oraz wodzem Zostanie Bąk, waleczny srodze, Marszałkiem leśnym Chrabąszcz będzie I niechaj świerszcze to orędzie Co tchu otrąbią wszem i wszędzie”.

Marszałek Bąk z buławą w dłoni Odbywa przegląd wszystkich broni. Lotnictwo stoi już na łące: Komarów lekkich trzy tysiące, Następnie osy pikujące, Eskadra chrząszczy transportowych I oddział pcheł spadochronowych. Koniki polne w polu stoją, Kawaleryjską błyszczą zbroją, Z daleka dzwonią ich ostrogi. Obok zebrały się stonogi Uszykowane w pułk piechoty, A dalej stoją dzielne roty Pancernych trzymieli, much, prusaków I karaluchów-zabijaków. Wymienić tu należy jeszcze Torpedy żywe, czyli kleszcze, Motyli pułk niezwykle karny I moli oddział sanitarny.

Marszałek Bąk dał znak buławą. Generał Żuk z niezwykłą wprawą Prowadzi mężne swe oddziały. Już bębny werblem zawarczały, Zagrały trąbki i fanfary, Zakołysały się sztandary, Zadudnił równy marsz piechoty, Poszybowały samoloty, Zasalutował król im wszystkim I otarł łzę dębowym listkiem.

Gdy słońce znikło z horyzontu, Owady przeszły linię frontu. Na zwiady najpierw poszły świerszcze I rozstawiły czujki pierwsze. Za nimi cicho, po kryjomu Prusaki wdarły się do domu, A cztery muchy i stonoga Wyśledzić chcą pozycje wroga. Są przy tym bardzo im pomocne Mechate ćmy - myśliwce nocne, Bo tłumiąc warkot swych motorów Spuszczają oddział reflektorów, Czyli robaczków świętojańskich. Z daleka odgłos trąb ułańskich Konnicę wzywa na biwaki, Lecz spać nie wolno. Rozkaz taki.

A nieprzyjacieli śpi spokojnie, Jakby nie wiedział nic o wojnie.

Spod kołder sterczą cztery nosy I chrapią, śpiąc, na cztery głosy.

Generał Żuk dowódców wzywa: „Zaraz się zacznie ofensywa. Niech karaluchy idą karnie Szturmować kredens i spiżarnię, Dwudziesty trzeci pułk prusaków Za nimi pójdzie do ataku, A na piwnicę, jak należy, Dywizja stonóg niech uderzy. Musimy zniszczyć bez litości Zapasy jadła i żywności”.

Oficerowie w cnym zapale Krzyknęli: „Rozkaz, generale!” I wnet, ogromne dając susy, Ruszyły pułki i korpusy, Szły stutysięczne rotы zuchów I lśniły wąsy karaluchów.

Od strony łąki, od moczarów Z bzykaniem leci pułk komarów. Wróg jedno oko ma otwarte, Przy oknie pajak pełni wartę. Przez okno prosto do pokoju Komary lecą na plac boju, Drwalowi krążą ponad głową I rażą bronią pokładową.

Spod kołdry sterczy czyjaś noga, Komary w nogę kłują wroga, Tną bez pardonu w usta, w uszy I tylko nosów nikt nie ruszy - Do tego inna broń się nada, Którą najlepiej osa włada. Eskadra os przez okno wpada I na komendę cztery osy Wbijają żądła w cztery nosy.

Wróg się na równe nogi zrywa, Zacznie się wnet kontrofensywa. Drwał porwał ręcznik i wywija, Komary tłucze i zabija, A dzieci drwala biegną boso I uganiają się za osą. Drwał os bynajmniej nie unika, Tylko je łapie do słoika. „Jesteście podłe i okrutne, Więc wam siekierą żądła utnę.”

Jak tu ratować biedne osy? Widząc, że ważą się ich losy, Biedronka wzbija się wysoko I wpada wprost drwalowi w oko. Drwał z bólu krzyknął wniebogłosy I powypuszczał wszystkie osy, Które, cudownie ocalone, Poszybowały w inną stronę.

Za dzielny wyczyn ten biedronka Dostała z rąk marszałka Bąka Order Jelonka trzeciej klasy I srebrny grosz z królewskiej kasy.

Marszałek śledząc walkę z lotu Wezwał owady do odwrotu I korzystając z chwili przerwy Zaczął gromadzić swe rezerwy.

Drwał po pokoju chodzi blady, Robi kompresy i okłady, Smaruje nosy opuchnięte. A nosy puchną jak najęte. Drwał po pokoju chodzi senny I w myślach snuje plan wojenny: „Ja wam pokażę. Zobaczycie. Porachujemy się o świcie”.

Tymczasem lotny szpital moli Do rannych bierze się powoli:

Sanitariuszki - małe muszki Komarom bandażują nóżki, Ostrożnie kładą je na nosze; Na skrzydła sypią biały proszek, Jodyną guzy im smarują I woskiem żądła polerują.

Choć rankiem nęka chłód jesieni, Generałowie wyświeżeni Do wodza lecą po rozkazy. Marszałek polny - wódz bez skazy Już czeka rzeński i wesoly I miód popija, który pszczoły Przygotowały mu na bębnie, Gdyż Bąk o świcie zwykle ziębnie

Sztab się naradzał minut kilka I nie minęła nawet chwilka, A już sztabowy dobosz bieży, Cwałują gońcy i kurierzy, Już skaczą pchły na spadochronach, Już muchy w karnych dywizjonach Lądują sprawnie i po cichu Na południowy wschód od strychu.

W mieszkaniu drwala ruch niezwykły: Otwarto okna, z domu znikły Obrazy, szafy i komody, A żona drwala, z kubłem wody Stąpając śmiało między wrogami, Szoruje ściany i podłogi. Janeczka porządkuje kuchnię, Raz po raz w kąty flitem dmuchnie, A Stefek - chłopiec bohaterski Do łóżek sypie proszek perski. Jest także środek i na mole, Jest i na muchy. Już na stole Stefanek stoi z bańką flitu, Przytwardza lepy do sufitu, Zalewa szpary żrącym płynem I rozsypuje naftalinę.

Marszałek Bąk na bębnie siadłszy Przez szkła lunety pilnie patrzy I ruchy wroga obserwuje: Flitowe wojsko maszeruje Z karabinami, w wielkich czapkach, Ustawia straż przy muchołapkach, Wystawia warty i patrole, Po czym odważnie rusza w pole. Żołnierze idą na bagnety Pełni zapału i podniety, Zadają wrogom straszne ciosy, Godzą w komary, w muchy, w osy Widać poległych całe stosy. Marszałek daje znak buławą, W bój każe muchom lecieć zwawo Rzuca rezerwę za rezerwą: „Niech tylko frontu nam nie przerwą!”

Muchy ruszyły wielką chmarą, Aż się zrobiło wokół szaro, Z bojowym brzękiem biją, wałą, Fala przewala się za falą. Jaka fantazja i brawura, Jaka odwaga! Naprzód! Hur-r-ra! Już much są pełne muchołapki, Na lepach drgają musze łapki, Musze skrzydełka się trzepocą - Walka nie skończy się przed nocą!

Marszałek Chrabąszcz czeka znaku, By rzucić jazdę do ataku. Koniki polne są jak w płasie, Nie mogą ustać, naprzód rwą się, Pchły na nich zreźnie siedzą wierzchem, Chciałyby ruszyć w bój przed zmierzchem. Ruszyły! Pędzą! Błyszcą piki, W galopie świszczą proporczyki I w ślad za wrogiem wystraszonem Cwałuje szwadron za szwadronem, Kto widział pchły w tej świetnej szarzy, Gdy jeździec nie drgnie, koń nie zarzy, Ten pcheł już o nic nie oskarży.

Tymczasem drwał wziął nogi za pas I przyniósł flitu nowy zapas. Marszałka Bąka żądło łechce, Marszałek Bąk próżnować nie chce, Więc krzyknął tylko: „Za mną, wiara, Spójrzcie, jak walczy gwardia stara!” Rozpostarł skrzydła swe jak żagle, W sam środek walki runął nagle I cel upatrzył sobie z dala, I wbił swe żądło w szyję drwala. Drwał z bólu fiknął trzy koziołki, Przeskoczył potem przez trzy stołki, Z żalonym jękiem skrył się w drwalce I nie brał już udziału w walce.

Owady wodza otoczyły: „Sto lat niech żyje wódz nasz miły!” I podrzucały go do góry, Aż poobijał się o chmury. Po nadzwyczajnym tym sukcesie Odpocząć wojsko mogło w lesie, Więc zaśpiewało pieśń wojenną, Dla wodza żywiąc cześć niezmienną:

Śmiało w bój, Bzyk-bzyk Gryź i kłuj, Bzyk-bzyk Trąbka gra, Bzyk-bzyk Tra-ra-ra, Bzyk-bzyk.

Wroga dręcz, Bzyk-bzyk Leć i bręcz, Bzyk-bzyk Trąbka gra, Bzyk-bzyk Tra-ra-ra, Bzyk-bzyk.

I znowu krzyknął ktoś z kaprali: „W górę marszałka!” Więc porwali I podrzucali go bez końca W gasnących już promieniach słońca.

Po ciężkim dniu żołnierze drzemią, Lecz nikt nie zdrzemnie się pod ziemią. Pracują mrówki - dzielne chwaty, Grzmia ich wytwornie i warsztaty I rzec by można bez przesady, Że to największe są zakłady. Tam amunicja dla żołnierzy W opancerzonych skrzyniach leży, Tam dla walczących są prowianty, Są kolorowe akselbanty, Gazowe maski tkane z wosku - I taką maskę ma na nosku Owad, gdy walcząc idzie z flitem; Tam warzą płyny jadowite Dla żadeł bąków, os i trzmieli, Tam rąbią puchy do pościeli, Kojące maście do okładów I nowe brzęczki do owadów.

O świcie walka znów zawrzała, Znów nadleciała much nawała, A flit wywietrzył. Flit nie działa. Z muchami jeszcze jest pół biedy, Lecz oto idą w bój torpedy: Zanim się wróg obudził jeszcze, Pod koldry wlażyły cztery kleszcze I każdy sobie otwór naciął, I drażą ciała nieprzyjaciół.

Wtedy wyruszył drwał do boju: Z siekierą biega po pokoju, Rąbie na lewo i na prawo I oręż swój okrywa sławą. Najstarszy człowiek nie pamięta, By walka była tak zacięta.

Janeczce innych wrażeń chce się, Więc poszła grzybów szukać w lesie. „Jak się masz, smyku-borowiku, Pozwól, że schowam cię w koszyku.” Opieńką także nie pogardza, A smardz się trafi - zrywa smardza. Pod mchem ukryte siedzą rydze - Janeczka woła: „Kogo widzę?” I do koszyka wszystkie chowa, Bo smaczna zupa jest grzybowa.

Wtem patrzy: król Jelonek Szósty Na tronie siedzi w dziupli pustej, Przed sobą trzyma listek świeży I pisze rozkaz do żołnierzy. Janeczka o nic się nie pyta, Tylko Jelonka w palce chwyta. Struchlała straż, pobladła świta, A król zupełnie się nie broni I siada chętnie na jej dłoni.

„Jakiś ty śliczny, mój Jelonku, Jak ładnie mienisz się na słońku, Zaraz zabiorę cię do domu I już nie oddam cię nikomu.”

Widząc, że sprawa jest niebłaha, Marszałek Bąk buławą macha. Już nadlatuje rój szerszeni, Co dłoń Janeczki w miazgę zmieni.

Lecz król Jelonek podniósł różki: „Proszę zostawić te paluszki, Niech żaden z was ich nie ukole, Ja sam oddaję się w niewolę”.

Po czym powiada do Janeczki: „Już czas zakończyć nasze sprzeczki. Nie chcemy wcale waszej szkody, A nawet ważne mam powody, Żeby namawiać was do zgody. Po prostu zostań moją żoną,

Uznajmy wojnę za skończoną I zamieszkamy sobie wspólnie W dziupli, gdzie bardzo jest przytulnie”.

Janeczka na to rzecze: „Królu, Wcale ci nie chcę sprawiać bólu, Lecz żeby godną być królową, Trzeba mieć suknię koronkową, Chodzić w jedwabiach i atlasach, A tego nie ma w naszych lasach”.

Zawezwał król marszałka Bąka: „Natychmiast musi być korona, Sztuka jedwabiu i atlasu, Ale to w mig, bo nie mam czasu!”

Janeczka była bardzo miła, Króla z niewoli wypuściła, Więc król poleciał do dąbrowy Układać traktat pokojowy.

Już po zatargu. Już po wojnie. Rodzina drwała śpi spokojnie I tylko tysiąc dzielnych moli W szafie Janeczki się mozoli. Obsiadły nowe jej sukienki I wygryzają deseń cienki: Esy, floresy, ściegi, ścieżki, Kółeczka, brzeżki i mereżki, Różyczki, listki, piękne wianki I delikatne wycinanki. Na rano będą już gotowe Prześliczne suknie koronkowe.

W tym samym czasie pilne mrówki W mrowisku łamią sobie główki Nad tym, jak utkać materiały, By się Janeczce podobały. Zrobiły wreszcie to najprościej: Do jedwabników poszły w gości, Kupiły od nich nitkę cienką, Pająk posłużył za czólenko, Pył barwny wzięły od motyli - I warsztat ruszył już po chwili. Czólenko miga, szpulki brzęczą, Jedwab się mieni barwną tęczą, A tak jest cienki, że zapewne Każdą zachwyciłby królownę. Gdy swoją pracę skończą mrówki, Zajadą żuki-cieżarówki, By król odebrać mógł zawczasu Sztukę jedwabiu i atlasu.

Lecz w życiu nic się nie układa Tak, jak się w bajkach opowiada. Przyleciał nagle wiatr z północy, Zimowy sen nadciągnął w nocy, Pożółkły liście w chłodnym wietrze I rtęć opadła w termometrze. Kopytem konik już nie grzebie, Karetka czeka - niepotrzebnie, Król miał pojechać w swaty właśnie, Lecz nie pojedzie ten, kto zaśnie.

Śpi król Jelonek w miękkim łóżku, W futrzanej czapce i kozuszk, Przy łóżku króla zasnął twardo Wspaniały krzyżak z halabardą, Ul się pograżył cały we śnie, Posnęły mrówki jednocześnie, Usnęli obaj marszałkowie, Owady wszystkie śpią w dąbrowie, Posnęły roje much gromadnie I drwał z rodziną śpi przykładnie. Spod kołder sterczą cztery nosy I chrapią, śpiąc, na cztery głosy, A to, co było - to nie było, Tylko Janeczce się przyśniło.

Trzy wesole krasnoludki

Jest na świecie kraj malutki, Gdzie mieszkają krasnoludki, Mają domki z cienkiej słomki, Z kominami jak poziomki. Krasnoludek, gdy jest młody, Wcale nie ma jeszcze brody, Żadnych ważnych spraw nie miewa, Tylko bawi się i śpiewa.

W tej bajeczce, moje dzieci, Krasnoludków trzech znajdziecie: Jeden chodzić zwykł w czerwieni, Więc się też Poziomką mieni, Drugi zowie się Modraczek, Bo niebieski nosi fraczek, No, a trzeci, wiecie, dzieci? Ma Żółtaszka imię trzeci. Z Chin pochodzi, skąd przed laty Przybył w puszcze od herbaty, I jak chińskie krasnoludki Nosi z tyłu warkocz krótki.

Na ślizgawkę raz w niedzielę Poszli mali przyjaciele I na lodzie z łyżwy starej, Co to właśnie brak jej pary, Łódź żaglową zmajstrowali, Chociaż byli tacy mali. Wiatr był wolny przy niedzieli, Więc go sobie wynajęli Na godzinę za pięć groszy, By koniki polne płoszyć.

ii

Już niedługo, jak widzimy, Minął okres chłodnej zimy; Krasnoludki w dzień majowy Idą poić swoje krowy, Bo gdy krowy chce się doić, Trzeba dobrze je napoić.

Wietrzyk lecąc przez parowy Śmiał się głośno: „Też mi krowy, Gdy chodziłem na majówki, Widywałem boże krówki, Lecz tych krówek, mili moi, Nikt nie poi i nie doi”.

No to odrzekł mu Poziomka: „Niech pan tutaj się nie błąka, Bo pan nie wie, jakie trzódki Mają zwykle krasnoludki”.

Jednej z krów, nie wiedzieć czemu, W stadzie nikt utrzymać nie mógł.

Pośród krów się czuła obco I mówiła: „Jestem owcą”.

No to rzekł Modraczek: „Zgoda, Owcy też potrzebna woda. A więc proszę, być w spokoju Z nami szła do wodopoju”.

No to ona znów powiada: „Ja nie jestem z tego stada I pokażę taką sztukę, Że się z owcy stanę żukiem”.

I jak zwykle robią owce, Poleciała na manowce. Nie mógł złapać jej Modraczek, Bo był pieszo - nieboraczek.

iii

Przez wysoką trawę wonną Najprzyjemniej jechać konno, Zwłaszcza gdy do jazdy takiej Można użyć trzy ślimaki.

Po jelonku dla Żółtaszka Taki nowy koń - to fraszka, Ale każdy o tym wie, że Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Nasz Żółtaszek nie jest głupi, Zrobił otwór więc w skorupie I wygodnie, jak w karecie, Jeździć może w niej po świecie.

Modraczkowi się nie wiedzie, Na swym koniu wierzchem jedzie, Ale koń mu figle płata, Bo to widać akrobata.

Zaś Poziomce jest najgorzej: Na dół, biedak, zejść nie może, Jego ślimak, wielki śpioszek, Aż na szczyt tymotki poszedł I, skorupę mając własną, Do skorupy wlaźł i zasnął.

Uważajcie, moje dzieci, Bo Poziomka na dół zleci!

lv

Po przejażdżce nieudanej Chętnie szuka się odmiany, Toteż małe nasze chwaty Już się biorą do armaty.

„Z drogi, myszy, z drogi, ptaki, Z drogi, pszczoły i ślimaki, Muchomory, żaby, świerszcze - Zaraz padną strzały pierwsze!”

Prażą dzielni bombardierzy, Ten nabija, tamten mierzy, Trzeci znów pociski niesie, Kanonada brzmi po lesie.

Aż tu nagle, niespodzianie, Jeź się zjawił na polanie I natychmiast pocisk śmigły Z trzaskiem wbił się w jego igły. Chyba nikt z was dobrze nie wie, Jak się jeź najeża w gniewie, Jak straszliwie się zaperza - Lepiej wtedy nie znać jeża!

Więc Poziomka tylko sapnął, Nogi za pas wziął i drapnął, Za nim puścił się Modraczek, A Żółtaszek wlaźł na krzaczek I udaje spoza krzaczka, Że to nie jest on, lecz kaczką. Jeź, odchodząc, rzekł z przekazem: „A to nowość - kaczką z wąsem”.

v

Kto na jeża się zamierza, Ten się później boi jeża.

Więc Poziomka rzekł nieśmiało: „Po tym wszystkim, co się stało, Na czas pewien zniknąć wolę, Bo jeź chodzi zły i kole!”

Rzekł Modraczek do Żółtaszka: „Może z nas tu zostać kaszka, Jeź jest bardzo zły i srogi, Więc mu lepiej zejdźmy z drogi”

Choć projektów było wiele, Jednak mali przyjaciele Pomyśleli wreszcie o tym, Żeby czmychnąć samolotem.

Po godzinie był już gotów Ten najnowszy z samolotów. Motorami pszczoły były, Pracowały z całej siły, Bowiem każda miała z przodu Przytwierdzoną szczyptę miodu.

Wszystko poszło znakomicie, Aż tu nagle, jak widzicie, Jeden motor w tył się cofa - Będzie chyba katastrofa!

Drżą ze strachu krasnoludki, Aż im trzęsą się podbródki. Lecz na szczęście pewna ważka Dosłyszała krzyk Żółtaszka.

Ważka motor ma o sile Dwustu pszczoł, a właśnie tyle Trzeba mieć w aeroplanie, Żeby odbyć lądowanie.

Vi

Ma Żółtaszek pomysł nowy: „Zrobię pocisk raketowy I dolecę do księżycy, Bo mnie taki lot zachwyca”.

Krasnoludki lubią psoty, Więc się wzięły do roboty, Odnalazły kurze jajo I już świetny pocisk mają. Potem deskę z trudem wielkim Ułożyły w poprzek belki I wśród śmiechu, gwaru, pisku Wsiadł Żółtaszek do pocisku.

Więcej dbać nie trzeba o nic: Gdy na deski drugi koniec Spadnie jabłko, wtedy, dzieci, Pocisk w niebo wprost polecą.

Wlazł Modraczek na jabłkonkę, Do pomocy wziął Poziomkę, Już piłują bardzo składnie, Zaraz jabłko na dół spadnie.

Robak wyszedł z swego domku: „Hej, Poziomko, miły ziomku, Co robicie?

Gwałtu! Rety! Nic nie będzie z tej rakiety!”

Rzekł Poziomka do Modraczka: „Kto by słuchał też robaczka!” I zwyczajem krasnoludków Piłowali aż do skutku.

Jabłko spadło więc z łoskotem, Wicie zaś, co było potem? Modraczkowi guz wyskoczył, Bo się razem z jabłkiem stoczył, A Żółtaszek nieszczęśliwy Już po chwili spadł w pokrzywy.

Vii

Rzekł Żółtaszek: „Trudna rada, Kto nie lata, ten nie spada, Kto z powietrzem jest w niezgodzie, Musi szukać szczęścia w wodzie; Mam ją dla was łódź podwodną I bezpieczną, i wygodną”.

Krasnoludki rzekły: „Zgoda, Niechaj teraz będzie woda, Zamiast latać pod obłoki, Popłyniemy w świat szeroki”

Łodzią była pusta flaszką, Pomógł przy tym spryt Żółtaszka, Który zamknął ją od środka. „Może znów się jeża spotka?”

Ach, jak pięknie, ach, jak ładnie Jest w jeziorze leśnym na dnie, Raki, muszle, a przez szybę Widać nawet wielką rybę.

Do swych dzieci rzekła ryba: „To są jakieś żabki chyba, Jeszczem takich nie jadała, Choć tu mieszkam rok bez mała!”.

Przyjaciele nie słyszeli Słów, co padły z rybich skrzel, Zresztą szkło butelki grubej Ocaliło ich od zguby.

Zatem podróż swoją dalej Najspokojniej odbywali. Co widzieli w tej podróży, Tego pióro nie powtórzy!

Viii

„Kto z was w duszy jest rycerzem, Niech czym prędzej lancę bierze, Niech dosiedzie szybko konia, Bym go nie miał za gamonia! Hej! Wyzywam was na turniej Po raz pierwszy i - powtórnie!”

Powiedziawszy to Poziomka Wspaniałego dosiadł bąka I do walki dzielnie rusza, Aż się wprost raduje dusza. W przeciwnika lancą mierzy, Patrząc tylko, jak uderzy!

Marny więc był los Żółtaszka, Gdyż spotkała go porażka I wyleciał ponad drzewa, Choć się tego nie spodziewał.

Szczeńciem, opadł dosyć miękko, Bo spadochron miał pod ręką.

Teraz kolej na Modraczka: Ściągnął poły swego fraczka I do walki wszelkiej skory, Dosiadł mężnie swej sikory. „Hej, Poziomko, dobrodzieju, Nie zwyciężysz mnie w turnieju!”

Ale zanim to powiedział, Już nie siedział tam, gdzie siedział, Bowiem lanca go ubodła I Modraczek wypadł z siodła. Po zwycięstwie tak wspaniałym Krasnoludki się zebrały I Poziomce, dla parady, Dały order z czekolady.

Ix

Do zabawy znakomita Bywa także stara płyta, Lecz gdy nie ma patefonu, Jak tu słuchać pięknych tonów? Krasnoludki pomysłowe Ciagle łamią sobie głowę, Aż Poziomka rzecze serio: „Jakoś będzie z maszynierią!”

Chrabąszcz brzęczał w leśnych gąszczach, Wynajęli więc chrabąszcza, Żeby płytę im obracał, Bo to bardzo ciężka praca. Już się kręci wreszcie płyta, Ale igła tylko zgrzyta, Już Modraczek wszedł do tuby, Na nic jednak wszystkie próby, Bo się z tuby jeno słyszy Coś jak gdyby szelest myszy.

Zirytował się Żółtaszek, Do chrabąszcza wpadł pod daszek, Tam mu różgą sprawił lanie:
„Popamiętasz takie granie!”

Poszedł chrabąszcz zawstydzony Kręcić inne patefony.

Przecież jednak jest muzyka, Która gra bez mechanika. Rzekli tedy trzej filuci: „Niech się dzisiaj nikt nie smuci, Zagra wam orkiestra nasza, Która czeka i zaprasza”.

X

Nie wiedziały, co to smutki, Trzy wesołe krasnoludki, A tu jeszcze rozwesela Niezrównana ich kapela. Oto skrzypek rżnie od ucha, Puzonista w trąbę dmucha, Trzeci grajek w bęben wali, Żeby wszyscy tańcowali!

Na ogromnym muchomorze Gra kapela, tak jak może. Krasnoludki tańczą żwawo Naprzód w lewo, potem w prawo, Pan Poziomka przytupuje, Pan Modraczek mu wtóruje, A Żółtaszek krąży w koło - Jak wesoło, to wesoło.

Zatańczyły też komary Nie do pary i do pary, Bo gdy dobra jest muzyka, Komar tańczy i nie bzyka. W tany poszły kwiaty, liście, Tańczą trawy posuwiście, Cała łąka krąży w koło - Jak wesoło, to wesoło.

Oto jest historia krótka O wesołych krasnoludkach. Kto by do nich chciał pójść w gości, Niechaj zrobi to najprościej: Niechaj weźmie hulajnogę I odważnie rusza w drogę, Naprzód w prawo, potem w lewo, Tam gdzie stoi stare drzewo, Potem wprost do zagajnika, Zagajnikiem do strumyka, A strumykiem powolutku Aż do kraju krasnoludków.

Pan Drops i jego trupa

W Sandomierzu na przedmieściu Żyło sobie braci sześciu, Sześciu synów krawca Dropsa; Który umarł zjadłszy klopsa. Tomek z braci był najmłodszy, Ciągłe mówił coś trzy po trzy, Raz do sasa, raz do lasa - Więc uchodził za głuptasa. Włos miał rudy, nos perkaty, Kusą kurtkę w same łąty I dziurawe portki w kraty.

Rzekło tedy pięciu braci:

„Tomku, myśmy niebogaci, A za ciebie nikt nie płaci; Nie masz żony, nie masz dzieci, Nic nie robisz na dodatek, Jesteś głupi - trudna rada - Dosyć mamy darmożjada!”

Rzecz brat najstarszy: „Tomku, Jest za ciasno w naszym domku, Chcesz czy nie chcesz, ruszaj w drogę Dużo tobie dać nie mogę - Koło drogi, niedaleko, Stoi bocian ponad rzeką, Weź w prezencie go ode mnie, W dwójkę będzie wam przyjemniej”.

Drugi brat powiada: „Tomku, Idź, pomieszkać u znajomków, Ja ci chętnie dopomogę I coś niecoś dam na drogę: Za oborą sosna rośnie, Jest wiewiórka na tej sośnie, To majątek dla matolka - Weź ją sobie do tobołka!”

„Nie chcę, Tomku - rzecz trzeci - By na świecie było źle ci. Za stodołą myszka skrobie, Myszka polna. Weź ją sobie”.

Czwarty rzecz: „Ruszaj z Bogiem, Chętnie dam ci coś na drogę; Pod parkanem biegnie ścieżka, A przy ścieżce ślimak mieszka, Przyjmij, bracie, go od brata, Choć to dla mnie wielka strata!”

Wreszcie brat powiada piąty: „Idź, przeszukaj wszystkie kąty, Znajdziesz w jednym z nich stonogę, Weź ode mnie ją na drogę, Bo ci więcej dać nie mogę”

Tomek ścisnął ich serdecznie, Podziękował bardzo grzecznie, Zapakował swe manatki W perkalową chustkę w kwiatki, Wziął na drogę chleba pajdę. „Może skarb po drodze znajdzie!”

Włożył czapkę, zapiął kurtkę, A gdy wyszedł - bracia furtkę Szybko za nim zatrzasnęli, Poczekali do niedzieli, Wreszcie z ulgą odetchnęli.

Idzie Tomek w świat szeroki, Zamaszyste stawia kroki, Na grzebieniu gra walczyka, A tak wabi ta muzyka, Że tuż za nim środkiem drogi Kroczy bocian długonogi Przystrojony w białe piórka, Za bocianem mknie wiewiórka, Za wiewiórką myszka polna, Za nią ślimak pełźnie z wolna, A stonoga sapiąc srodze Dudni setką nóg po drodze.

Tomek patrzy się z zachwytem Na skowronki pod błękitem, Na pasące się owieczki, Na płynące w poprzek rzeczki Białe gaśki, na obłoczki, Na przesłiczne te widoczki.

Wreszcie usiadł sobie w cieniu Grając pięknie na grzebieniu I muzyki tej w skupieniu Słucha bocian, ślimak słucha, Mysz nadstawia pilnie ucha, A wiewiórka ze stonogą Wprost nasłuchać się nie mogą. Tomek przerwał i powiada: „Zaszczyt dla mnie to nie lada Tak szanownych mieć słuchaczy, Niech więc każdy usiąść raczy, Państwo chyba nie pogardzą, Miejsca nie brak, proszę bardzo”.

Wszyscy kołem go obsiedli: „No, a co będziemy jedli? Bez pieniędzy jeść nikt nie da, A z pieniędzmi u nas bieda”.

Posmutniało towarzystwo: „Nie nakarmi nas lenistwo!” Bocian duma skubiąc piórka, Zastanawia się wiewiórka, Mysz układa plany nowe, Ślimak łamie sobie głowę, A stonoga z miną błogą Dłubie w nosie jedną nogą. Wreszcie Tomek po namyśle Rzekł: „Zważyłem wszystko ściśle - Tworzę trupę! Rozumiecie? Żyć będziemy znakomicie, Ludzie lubią przedstawienia, Zarobimy bez wątpienia. Wyjmę grzebień, pięknie pogram I ułożę cały program”.

Bocian rzekł: „To nie jest głupie, Ja wystąpię w twojej trupie”.

Ślimak wylazł ze skorupy: „Przyjmij też i mnie do trupy!”

Mysz krzyknęła: „Świetnie, brawo! Zateśniłam już za sławą!”

A wiewiórka ze stonogą Wprost nacieszyć się nie mogą: „To dogadza nam szalenie! My - artystki! My - na scenie!”

Tomek wziął się do roboty Pełen werwy i ochoty. Więc rozejrzał się w zespole, Poprzydzielał wszystkim role, Powymyślał co niemiara Sztuk przeróżnych, sam się stara Wytresować trupę całą, Będzie teatr, jakich mało!

Towarzystwo się zmachało, Było głodne, toteż Tomek Przyniósł trupie garść poziomek Mówiąc: „Panie i panowie, Odpocznijmy w Klimontowie, To nieduże jest miasteczko Niedaleko stąd, nad rzeczką, Za to ludzie nie są skąpi - Trupa nasza tam wystąpi!”

Wstali. Poszli. Z horyzontu Wyrastają dachy z gontu, Widać domki: to Klimontów.

A pod niebem, pod wysokim, Idzie Tomek żwawym krokiem, Grając pięknie na grzebieniu, Za nim, w pewnym oddaleniu, Kroczy bocian długonogi, Mknie wiewiórka środkiem drogi, Za wiewiórką - myszka polna, Za nią ślimak sunie z wolna, A stonoga, sapiąc srodze, Zbiera nogi swe po drodze.

W Klimontowie już od rana Jest sensacja niesłychana, Każdy ciekawy, każdy pyta: „Gdzie ta trupa znakomita?” Tłum przygląda się afiszom, Co na słupach wszystkich wiszą, Bo w afiszach właśnie piszą:

„W Klimontowie dzisiaj hopsa Słynna trupa pana Dropsa, O godzinie piątej zbiórka. Popisuje się wiewiórka, Bocian, ślimak, myszka polna I stonoga bardzo zdolna. Pokazane będą sztuki - Cud zręczności i nauki. A pan Drops na przedstawieniu Pięknie zagra na grzebieniu. Bilet można w każdym czasie Za pięć groszy nabyć w kasie”.

Już na rynku stoją ławy, Już się zebrał tłum ciekawy, Siedzą panie i panienki, Burmistrz gruby, rejent cienki, Doktor z włosiem jak u jeża I starosta z Sandomierza.

Dookoła stoi gawiedź Pragnąc także się zabawić, Pod apteką zaś, po pracy, Zgromadzili się strażacy.

Oto piąta już godzina, Przedstawienie się zaczyna! Wyszedł więc pan Drops na rynek I z drewnianych pustych skrzynek Przy pomocy dwojga dzieci W mig estradę zgrabną sklecił, A gdy stanął na tej scenie, Rzekł:

„Zaczynam przedstawienie!”

Był pan Drops ubrany godnie: Z gazet miał uszyte spodnie, Z rąk zwisała mu zarzutka, Którą bocian zręcznie utkał, A wędrowny malarz z łaski Pomalował w czarne paski. Nadto miał na czubku głowy Cylinder teksturowy, Malowane sadzą wąsy I z buraka wielkie pąsy.

Rejent parsknął głośnym śmiechem: „Ależ mamy z nim uciechę!” „Co za strój!” - wołały panie, Rozśmieszone niesłychanie. Sędzia śmiał się do rozpuku, Tłum zaś, tłocząc się na bruku, Wprost ze śmiechu się pokładał:

„To dopiero maskarada!”

Tomek chrząknął i w skupieniu Zagrał polkę na grzebieniu. Dziwna była to muzyka: Tomek tańczył, biegał, fikał, Podskakiwał i przykucał, Przy czym grzebień w górę rzucał Ale grzebień pełen werwy Poza Tomkiem grał bez przerwy I wirując mu nad głową Grał poleczkę salonową; Grał mazura, po mazurze Kujawiaka zagrał w górze, Potem marsza, potem walca - Tomek wspinał się na palcach I porządnie się nasapał, Zanim grzebień wreszcie złapał I wpakował do kieszeni. A słuchacze zachwyceni Z ławek wszyscy powstawali, Bo muzyka trwała dalej, Bez ustanku, bez wytchnienia, Choć nie było już grzebienia.

„Brawo! Brawo! - rzekł starosta. - Sztuczka nie jest taka prosta!” Za starostą wszyscy żwawo Zawołali: „Brawo, brawo!” I bez końca trwały wrzaski, Brawa, bisy i oklaski.

Na stonogę teraz kolej, Więc gramoli się powoli, Wlecze setkę nóg, a na nich Tyleż ma trzewików tanich I przebiera już nogami, Przytupując trzewikami, Zwinna, zgrabna, lekka, wiotka - To przynajmniej jest czeczotka! Jedna noga drugą goni, Trzecia drepcze tuż koło niej, Czwarta noga z jedenastą, Sześćdziesiąta z dziewiętnastą, Osiemnasta z pięćdziesiątą, Siódma zaś z

dziewięćdziesiątą Drży estrada w takim pląsie, A stonogi nogi rwą się, Jeszcze, jeszcze, a trzewiki Przytupują w takt muzyki.

„To jest taniec! - rzekł starosta. - Nikt stonodze w nim nie sprost!” Rejent zaczął klaskać żwawo, Tłum zawołał: „Brawo, brawo!” A stonoga od strażaków Otrzymała bukiet maków.

Po stonodze w okamgnienie Ślimak zjawił się na scenie, Ze swej muszli wyszedł z wolna, A w ślad za nim myszka polna; Mysz stanęła na ogonie, Ślimak wnet się wdrapał po niej, Mysz skoczyła na ślimaka, Ślimak na nią - wkrótce taka Piramida się zrobiła, Że się wcale nie kończyła, W chmurach tkwiąc jak długa kiszka: Ślimak - myszka - ślimak - myszka - I raz jeszcze, i na nowo, Dziw nad dziwy, daję słowo! Każdy łatwo mógłby przysiąc, Że ich razem było z tysiiąc.

„Brawo, brawo! - rzekł starosta. - Sztuczka nie jest taka prosta!”

Rejent głośno ją wychwalał, A tłum wprost z zachwytu szalał.

Mysz i ślimak dali nurka, A zjawiła się wiewiórka W zwinnych skokach i podskokach.

Całą głowę miała w lokach, Suknię z piki, czepek z włóczki - I zaczęła swoje sztuczki.

W łapki brała więc orzechy, Po czym niby dla uciechy Między widzów je rzucała I wciąż kogoś w nos trafiała. Taki nos, trafiony z cicha, Naprzód marszczy się i kicha, Potem robi się zielony I od górnej jego strony Nagle pęd wyrasta wąski, Puszczą listki i gałązki, Na gałązkach zaś w pośpiechu Rośnie orzech przy orzechu. Tłum je szybko z nosów zrywa, A orzechów wciąż przybywa, Już ich leżą całe stosy. - Wprost podziwiać takie nosy!

Wtem wiewiórka swym ogonem Pomachała w lewą stronę: Wszystko z nosów nagle znikło, Więc przybrały postać zwykłą.

Rzekł starosta: „Dziw nad dziwy!” Rejent krzyknął: „Cud prawdziwy!”

Burmistrz nic już nie rozumiał, A tłum cieszył się, jak umiał.

Przyszła kolej na bociana. Bocian - postać bardzo znana - Wyszedł w dużych okularach, W meloniku, w getrach szarych, Z gestem pełnym uprzejmości, Złożył ukłon publiczności, Pyknął dziobem niby fajką I zniósł wielkie, białe jajko.

Potem stanął wprost na dziobie, Zadarł w górę nogi obie I jak piłkę wrzucił na nie Piękne jajko swe bocianie. To ostrożnie je obróci, To przerzuci, to podrzuci, Nagle... co to? W jajku dziurka - Wyskakuje z niej wiewiórka, Za wiewiórką myszka polna, Za nią ślimak pełźnie z wolna, Za ślimakiem zaś nieboga Ukazała się stonoga, Wreszcie wyszedł ze skorupy Sam pan Drops - dyrektor trupy.

„Brawo, brawo - rzekł starosta. - Sztuczka nie jest taka prosta!” Burmistrz milczał cały błądy, Rejent podbiegł do estrady, Trupę tak, jak mógł, wychwalał, A tłum wprost z zachwytu szalał.

Po skończonym przedstawieniu Tomek jeszcze na grzebieniu Zagrał marsza i czym prędzej Jął obliczać stos pieniędzy.

Bocian dochód obliczony Poukładał mu w rulony, Których było z pięć tysięcy, Jeśli nie dwa razy więcej. Te pieniądze po troszeczkę Poprzewoził strażak w beczce, Po czym trupa w restauracji Siadła wreszcie do kolacji.

Tomek jadł za wszystkie czasy: Spałaszował metr kielbasy, Dwa talerze kapuśniaku, Cynaderki, miskę flaków, A na deser mu podano Talerz malin ze śmietaną.

Bocian połknął cztery leszcze, Potem tuzin płotek jeszcze, A to wszystko z wielkim smakiem Zagryzł karpem i szczupakiem.

Dla ślimaka i stonogi Przyniesiono dwa pierogi, Mysz dostała polec sadła, A wiewiórka pestki jadła.

Radość trupy była wielka: Za butelką szła butelka, Aż tryskała lemoniada. Wreszcie Tomek tak powiada:

„Wszystko poszło znakomicie, Zarobiliśmy na życie, Starczy nam na cztery lata, Trupa stała się bogata, Po niedolach naszych wielu Dziś wyśpimy się w hotelu, Elegancko, w miękkich łózkach, Pod kołdrami, na poduszkach”.

Ślimak w dobrym był humorze, Krzyknął: „Świetnie, dyrektorze, Dziś wyłażę z mej skorupy I śpię w łóżku obok trupy!”

Hotel tonął jeszcze we śnie, Kiedy rankiem, bardzo wcześnie, Zajechały samochody Kieleckiego wojewody:

Blednie służba hotelowa; Biegnie burmistrz Klimontowa, A tymczasem wojewoda Szybko wchodzi już po schodach I powiada z miną mopsa: „Gdzie śpi trupa pana Dropsa?”

Służba tylko w pas się kłania, Bo nic nie ma do gadania, A hotelarz w rannym stroju Drzwi otwiera do pokoju, Gdzie śpi trupa w sześciu łózkach, Pod kołdrami, na poduszkach.

Ślimak zerwał się z poduszki I ciekawie podniósł różki. Bocian klasnął tylko dziobem: „Skądś mam już tę osobę”.

Tomek widząc tyle ludzi Ziewnął: „Po co nas się budzi?”

Wojewoda się uśmiechnął: „Panie Dropsie, proszę, niech no Pan się zbudzi. Bo jest moda Stać, gdy mówi wojewoda!” Tomek zerwał się z posłania, Już przeprosza, już się kłania, A z nim razem trupa cała Wojewodę powitała.

Wojewoda się uśmiechnął: „Panie Dropsie, proszę, niech no Pan odwiedzi miasto Kielce, Będę panu wdzięczny wielce.